NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV. Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy. — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 3 sierpnia 1912. Nr. 31.

Krwawy dramat miłosny w Karlsbadzie.



Nr. 31. „Nowości Illustrowanych“ zawiera: Jubileusz biskupa-patryoty. — Rządy tureckich pretoryanów. — Z igrzysk olimpijskich. — Ciekawy eksperyment techniczny. — Zamordowanie dyrektora fabryki. — Wojna podczas pokoju. — Niebezpieczne Tatry. — Walka z flotą powietrzną. — Sufrażystki przy pracy. — Zmiecione miasto. — Odkopane cmentarzysko we Lwowie. — Kołomyja pod wodą. — Znowu katastrofa budowlana we Lwowie.

Krwawy dramat miłosny w Karlsbadzie.

(Do illustracyi tytułowej).

Jak geniusz sąsiaduje blisko z obłąkaniem, tak miłość ociera się często o zbrodnię. Morderstwa na tle erotycznem są, niestety, zjawiskiem częstem i mają już swą historyę... Jedną z takich zbrodni spełniono znowu w Karlsbadzie, a dramat ten ze względu na osoby, które odegrały w nim tragiczną rolę, wywołał u nas głębsze wrażenie.

Ofiarą morderstwa padła 34-letnia żona urzędnika krakowskiej dyrekcyi kolei, śp. Otylia Pickowa, którą zastrzelił na ulicy również przybyły z Krakowa urzędnik pocztowy, Kruczek. Dał on de swej ofiary kilka strzałów, poczem sam odebrał sobie życie...

Stara, dobrze znana historya... Zabójca już od pewnego czasu prześladował swą miłością, ś. p. Pickową, która była bezsilną wobec coraz gwałtowniejszych ataków Kruczka. Córka ś. p. Roberta Stillera, urzędnika wojskowego, którego krzywda i walka z niesprawiedliwym wyrokiem sądowym (skazującym go za zbrodnię stanu na kilkoletnie więzienie) zakończona zupełną rehabilitacyą, tkwi jeszcze w pamięci wszystkich — śp. Pickowa była żoną kaleki, który padł ofiarą wypadku i stracił na dworcu kolejowym obie nogi. Nie mogła też znaleźć w nieszczęśliwym mężu — skutecznej obrony. Kruczek nalegał na nią, aby porzuciła męża i dzieci i uciekła z nim, urządzał jej awantury, groził... Śp. Pickowa żyła w ostatnich czasach w ustawicznej trwodze o swoje życie, niejednokrotnie też zwierzała się z temi obawami przed swą najbliższą rodziną. To też rodzina zamierzała w ostatnich dniach zażądać interwencyi policyi. Na razie sprawa uległa zwłoce, gdy tymczasem nastąpił wyjazd do Karlsbadu, zakończony tak tragicznie...

Jak zwykle w takich razach, tak i to morderstwo, którego ofiarą padła śp. Pickowa, stało się podwójną zbrodnią, bo nie tylko pozbawiło jej życia, ale dało powód do komentarzy i plotek uwłaczających czci kobiecej... Jest to jakaś dziwna, wprost niezrozumiała pogoń za sensacyą, stojąca w najjaskrawszej sprzeczności z logiką i zdrowym rozsądkiem. Bo dlaczego śp. Pickowa zginęła tak tragiczną śmiercią? Dlatego właśnie, że była odporną na erotyczne żądania Kruczka, że była dobrą żoną i matką. Gdyby chciała być mu powolną, gdyby chciała się sprzeniewierzyć zasadom uczciwej kobiety — rozkochany szaleniec nie miałby chyba powodu do popełnienia mordu i samobójstwa...



Jubileusz biskupa-patryoty: Ks. biskup Władysław Bandurski

Tragiczny zgon śp. Pickowej, który przedstawia nasza tytułowa illustracya, powinien właśnie uchronić przynajmniej ofiarę tego morderstwa od nowej zbrodni — uwłaczających podejrzeń.

Jubileusz biskupa-patryoty.

Dwadzieścia pięć lat temu, 25 lipca 1887, otrzymał święcenia kapłańskie we Lwowie jeden z najbardziej dziś znanych i cenionych kapłanów polskich, ks. biskup Bandurski. Nazwisko to cenione jest w całej Polsce. Nieraz bowiem z ambony lub mownicy publicznej rozbrzmiewał donośnie głos tego kapłana-patryoty, budząc serca polskie, krzepiąc zwątlałe dusze i zapalając do pracy i wysiłków około dobra narodowego.

To też w chwili, kiedy ten biskup-patryota obchodzi jubileusz dwudziestopięciolecia kapłaństwa, z życzeniami czcigodnemu Jubilatowi pospieszyli wszyscy, którzy na całym obszarze ziem polskich szczerze po polsku czują i myślą. Całe bowiem życie tego czcigodnego kapłana jest jednem pasmem ofiar, składanych na ołtarzu dobra narodowego.

Urodzony w Sokalu 1863 r., szkoły i seminaryum duchowne ukończył we Lwowie i przyjął święcenia z rąk arcybiskupa Morawskiego. Przez pewien czas przebywał następnie w Rzymie, gdzie doktoryzował się w r. 1889. Wróciwszy do kraju jako wikary przebywał w Kamionce Strumiłowej, potem w Stanisławowie, wreszcie od r. 1893 we Lwowie.

Na szerszą arenę życia publicznego występuje ks. Bandurski w r. 1895, kiedy został sekretarzem ks. biskupa Puzyny. Przeniósłszy się do Krakowa, szybko postępuje naprzód po szczeblach hierarchii kościelnej, zostając w r. 1896 kanclerzem konsystorza, zaś w r. 1899 kanonikiem kapituły.

Papież Leon XIII. nadał mu dwa ordery „Bene merenti" i „Pro ecclesia et Pontifice".

W r. 1906 papież Pius X. mianował go biskupem i sufraganem lwowskim.



Ciekawy eksperyment techniczny: I Ogólny widok zburzonej cegielni. II. Zakładanie przyrządów wybuchowych. III i IV. Walące się kominy. V. Gruzy kominów. VI. Komendant oddziału pionierów. VII. Grupa widzów, przybyłych umyślnie do Chyrowa celem oglądania ciekawego eksperymentu. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Na wysokiem stanowisku, jakie ks. Władysław Bandurski w kraju zajmuje, okazał się szczerym synem Kościoła i Ojczyzny. Oba te pojęcia zespolił i połączył on w swem życiu w jedną całość i czynami swymi, wielbionymi przez naród cały, spoistość tę stwierdził. Wszędzie, gdzie trzeba było budzić ducha narodowego, stawał ks. biskup Bandurski chętnie do czynu, pełen zapału i ofiarności. Dość przypomnieć obchód grunwaldzki w Krakowie i Lwowie, wskazać na liczne uroczystości narodowe, w których zawsze chętny brał udział. Do dzieł, któremi jubilat pochlubić się może, należą także starania, podjęte przez niego w sprawie beatyfikacyi królowej Jadwigi.



Rządy tureckich pretoryanów: Ahmed Mukhtar pasza, nowy prezydent gabinetu tureckiego.

Poza żywem słowem pracuje ks. biskup Bandurski bardzo żywo na niwie literackiej, a z pod jego pióra wyszedł już cały szereg dzieł znanych i czytanych.

W tym ogólnym hołdzie dla Jubilata i my spieszymy z życzeniami, aby w takiem samem zdrowiu, owiany tym samym gorącym zapałem doczekał się złotych godów kapłańskich.

Ciekawy eksperyment techniczny.

Rzeczą wielce mozolną i kosztowną jest rozbiórka wszelkich budowli murowanych, zwłaszcza wysokich, jak np. olbrzymie kominy fabryczne. Aby zaoszczędzić tych kosztów i czasu, dokonano niedawno ciekawego eksperymentu w Chyrowie. Mianowicie celem powiększenia tamtejszego zakładu OO. Jezuitów, postanowiono zburzyć sąsiednią cegielnię z dwoma wielkimi kominami. Dokonali tego przedsięwzięcia pionierzy 11 go batalionu z Przemyśla, którzy oba kominy wysadzili dynamitem w powietrze, bez żadnej szkody dla sąsiednich budowli.

Illustracye nasze przedstawiają szereg zdjęć z tego ciekawego eksperymentu technicznego.



Rządy tureckich pretoryanów: Pierwsza ofiara powstania albańskiego.

Rządy tureckich pretoryanów.

Poraz drugi w stosunkowo krótkim czasie Turcya znajduje się pod władzą wojska. Poraz pierwszy spisek wojskowy, zorganizowany przez Młodoturków, obalił władzę Abdul Hamida. Wojska młodotureckie ruszyły wtedy na Konstantynopol i prawie pod naciskiem bagnetów zdobyły konstytucyę.

Obecnie sytuacya się zmieniła. Po raz drugi grozi marsz wojsk na stolicę kraju, tym razem jednak nie w obronie konstytucyi, ale w walce z nią i jej podporą, komitetem młodotureckim. A stało się to dzięki licznym błędom, jakie Młodoturcy, rządząc krajem, popełnili. Zdobywszy ster rządów dzięki pomocy ludności nietureckiej i Albańczyków, zbyt prędko zapomnieli o tem i rządy swe zwrócili właśnie przeciw swym sprzymierzeńcom, wynaradawiając ich szowinistycznie. Nastąpiło więc zjednoczenie się wszystkich elementów zawiedzionych, które zwróciły się przeciw Młodoturkom.

Gabinet ich musiał upaść, na czele rządów stanął Ahmed Mukhtar pasza, Albania rozgorzała nowem powstaniem, a wśród oficerów wojsk tureckich powstała „liga", która wprost dąży do oba-



Zaślubiny hr. Wojciecha Gołuchowskiego z hr. Baworowską: Nowożeńcy w gronie gości weselnych. (Fot. M. Münz, Lwów).



Zgon twórcy nowej Japonii: Zmarły cesarz japoński Mutsu-Hito.

lenia władzy Młodoturków. Grozi ona, że w razie jeśli sułtan nie rozwiąże Izby posłów, mającej większość młodoturecką, to „liga" zdetronizuje sułtana Mohameda Reszada V., a w miejsce jego wprowadzi na tron księcia Jusufa Iccedyna, zawziętego wroga Młodoturków.

Nowy gabinet zdołał opanować cokolwiek sytuacyę. Do Albanii wysłano komisyę rządową, która ma uspokoić wzburzenie. Nim jednak komisya ta rozpoczęła swe prace, pierwsze starcia między powstańcami a wojskiem już miały miejsce i padły już pierwsze ofiary nowego powstania.



Rządy tureckich pretoryanów: Powstańcy albańscy podczas walki.



Z igrzysk olimpijskich: Król szwedzki Gustaw V. wieńczy zwycięzców.

Zgon twórcy nowej Japonii.

W Tokio zmarł cesarz japoński Mutsu Hito. Japonia straciła w nim wielkiego reformatora, który państwo „wschodzącego słońca" doprowadził szeregiem gruntownych reform do dzisiejszej potęgi.

Urodzony w roku 1853, zmarły mikado objął tron w r. 1867. Mimo młodego wieku Mutsu-Hito zrozumiał, że aby zapewnić państwu siłę i znaczenie, musi zreformować cały ustrój na sposób europejski. Zabrał się do dzieła energicznie przy pomocy światłych pomocników i doradców. Pod rządami jego rozpoczął się też niezmiernie doniosły w skutkach okres europeizacyi Japonii. Najpierw zreformowano szkolnictwo, następnie przeprowadzono szereg reform społecznych, które zmieniły do gruntu dawne, przestarzałe stosunki feudalne. Jednocześnie Mutsu Hito rozpoczął reorganizacyę armii na sposób europejski, pod kierunkiem instruktorów niemieckich, wreszcie w r. 1889 nadał Japonii konstytucyę.

Rozpoczęte przez zmarłego mikada dzieło wydało zdumiewające wyniki.

Dzięki tym reformom, przeprowadzonym przez zmarłego mikada, nowa Japonia stała się jednem z postępowszych państw i groźną dla Europy potęgą.



Zamordowanie dyrektora fabryki: Ś. p. inżynier Bojemski, dyrektor fabryki Hantkego w Rakowie pod Częstochową.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

28)

— Czy otwieranie wogóle nie szkodzi chorym leżącym przy oknach, a zwłaszcza w zimie?

— Wyzdrowienie jest w ręku Boga, a ci ludzie nie są przyzwyczajeni do takich ostrożności. Zresztą otwieramy tylko górne okienka.

— A wentylatorów niema? — spytała Irena.

— Takich zbytków oni nie znają i nie potrzebują i Panu Bogu niech dziękują, że przyjęliśmy ich tutaj, — następnie głosem spokojnym kazała posługaczowi oznajmić, że godzina odwiedzin minęła.

* * *

Od jakiegoś czasu zauważyła Czajkowska, że służąca Kasia, dotychczas zgodna i ustępliwa, miewa zmienny humor. Raz łagodna i chętna, znów krnąbrna i kłótliwa, a w tonie jej odpowiedzi czuć było pretensyę, żal i lekceważenie.

W innym czasie byłaby się postarała Czajkowska zmienić służącą, ale zbliżały się święta wielkanocne z nieodzownem porządkowaniem, sprzątaniem i przygotowaniami, a zmiana służącej wszystkoby utrudniła.

Przed nadchodzącym Wielkim tygodniem poszła Czajkowska do kuchni i wydając rozporządzenia co do różnych zakupów powiedziała:

— Niechże Kasia wcześnie wróci, bo trzeba dziś pranie zrobić.

Kasia siedząc na kufrze, spojrzała na swą panią złemi oczyma, a na szerokich, mięsistych ustach zjawił się złośliwy uśmiech i odpowiedziała szorstko:

— Ani myślę prać w piątek. Jutro mam szorowanie kuchni. Zdrowie tu stracę.

— Moja Kasiu, nie mogłam zdążyć z naprawą bielizny na czwartek, i dziś musi być pranie.

— Z naprawą mogłaby pani zdążyć, gdyby panienka pomogła, ale panienka po całych dniach za domem, czego jak żyję nie widziałam.

— To do Kasi nie należy, — odparła Czajkowska zniecierpliwiona, — a nie chce Kasia dziś prać, odłożymy na poniedziałek.

Kasia wstała z kufra i zawołała z gniewem:

— Czy to pani nie katoliczka, ażeby dawać pranie w Wielkim tygodniu? Ja nie myślę gubić duszy siedząc tutaj. Ani pani do kościoła, ani na Gorzkie Żale, ani na rekolekcye. To gorzej żydów!

— Niech się Kasia uspokoi, — upomniała ją surowo, — i nie miesza się w nieswoje rzeczy. To do Kasi nie należy, czy chodzę, czy nie chodzę do kościoła.

— Właśnie że zależy, — zaczerwieniła się. — Godziłam się na służbę do katolików, a tu ani obrazu świętego, ani modlitwy. Czy był kto z państwa u spowiedzi świętej? Ani myślę dłużej służyć! to obraza boska! to wstyd!

Czajkowska pobladła z gniewu i wysilając się na spokój rzekła:

— Nie chce Kasia służyć, przymusu niema. Za dwa tygodnie może Kasia iść.

— O, nie! Na święta nie zostanę. Chora jestem, pojadę do domu, a pani niech sobie szuka sługi chociażby i dziś. To moje ostatnie słowo. W takiem zgorszeniu nie mogę żyć dłużej.

Przed Czajkowską przesunął się obraz kłopotów i przykrości poszukiwania nowej służącej w czasie tak gorącym dla gospodyń. Postanowiła ująć rozgniewaną Kasię łagodnością, ażeby zatrzymać ją tylko przez święta.

— Moja Kasiu, żyłyśmy w zgodzie tyle miesięcy, skarżyć się na nas nie może Kasia, skąd ten nagły gniew i jakieś pretensye do nas? Czyż Kasia nie rozumie, ile przykrości sprawi mi to nagłe porzucenie i to przed samemi świętami?

Kasię opuściła pasya, cokolwiek ułagodziła ją łagodność pani, ale pozostała w niej spora ilość goryczy i powiedziała z żalem:

— A pani myśli, że mi lekko porzucać służbę? Ale jak nie można, to nie można.

— Ale dlaczego? z jakiego powodu? Niechże Kasia będzie szczera i powie mi prawdę, może to da się usunąć.

— Jak pani chce, to i powiem... Jeszcze nie nastałam na stałe u pani, a już mi Frania, ta co była poprzednio tutaj, mówiła, że u państwa jak u pogan, ale myślałam, że to złe języki, a dopiero teraz przejrzałam po świętej spowiedzi, w jaki dom ja się dostałam. I panicz taki, ale to mężczyzna ale i panienka taka sama, a nawet pani.

— Cóż takiego? — spytała zaniepokojona Czajkowska, — co Kasia ma do zarzucenia panience, albo mnie?

— Nie uwidzi tu obrazka świętego, nie zachowuje się tu postów, do kościoła nikt nie zajrzy, nie posłucha nauk kapłańskich i to nawet w wielkim poście, przeznaczonym do pokuty za grzechy nasze, do przebłagania Pana Boga.

— Ależ Kasiu, my tacy katolicy jak i Kasia, a niekoniecznie ten najlepszy, co klepie modlitwy i traci czas roboczy w kościele.

— Otóż to, ci najgorsi, co to udają katolików, a nie zachowują przykazań kościelnych. Otworzył mi oczy ojciec spowiednik i powiedział mi, że jeśli nie chcę zgubić duszy, powinnam unikać bezbożnego towarzystwa, a widzę ja tu gorsze rzeczy, tylko o nich nie chcę mówić.

Zrozumiała Czajkowska, że do sfanatyzowanej Kasi nie przemówią żadne argumenta, logiczne i rozumowe i po chwili powiedziała:

— Nie chcę Kasi narażać na grzech. My naszego postępowania w niczem nie zmienimy, a chce Kasia odejść, to dziś obliczę i wypłacę należność, chociaż według umowy i prawa, powinna Kasia na dwa tygodnie naprzód wypowiedzieć mi służbę.

Te słowa były taką wielką niespodzianką dla Kasi, która się przygotowała na scenę i kłótnię, że zdumiona obejrzała Czajkowską jak dziwo i nie mogła się wstrzymać od pytania:

— A co pani zrobi bez sługi? Kto posprząta, wyszoruje, wypierze?

— Jakoś sobie poradzę, — uśmiechnęła się, — ale nie chcę Kasi zmuszać, chociaż wiedząc, ile Kasia będzie miała roboty, umyśliłam dać prezent na Wielkanoc, — a widząc, że Kasia taje pod temi słowami, — dodała sentencyonalnie: — dobra chrześcijanka i katoliczka czyni tylko dobrze swoim bliźnim.

— Prawdę pani mówi i niech będzie co chce, — a już zostanę przez święta, ażeby pani nie miała kłopotu.

— Bardzo dobrze, Kasiu... — a co będzie z praniem dzisiejszem?

— Niech pani da, bo w Wielkim tygodniu nie będzie czasu. Tyle czasu z panią zbałamuciłam, kiedyż ja wrócę! — ubierała się pospiesznie, — a mięsa ile kupić?

— Nie trzeba, dziś piątek, będziemy pościli, — uśmiechnęła się.

— My możemy, ale panicz pracuje, musi zjeść, wezmę na befsztyk.

— Dobrze, Kasiu.

W kilka dni dowiedziała się Czajkowska od Kasi, że w całej kamienicy mają za złe Irenie, iż chodzi do szpitala i nosi choremu łakocie. Uwiadomiła o tem Irenę, radząc jej, ażeby zaprzestała częstych odwiedzin Tomasza ze względu na plotkarskie języki.

— Ani myślę! — oburzyła się Irena, — jemu każda moja bytność sprawia przyjemność i ulgę. Dla głupich plotek nie porzucę chorego.

Swoją drogą zauważyła Irena nieprzyjazne i podejrzliwe spojrzenie stróżki, służących, nawet sąsiadów, a Maryewski który dotychczas kłaniał się jej z rozmyślną przesadą, teraz, przy spotkaniu ledwie uchylał kapelusza, uśmiechając się drwiąco.

Posłyszała też, idąc z ulicy Żabiej ku miastu, rozmyślnie głośno prowadzoną rozmowę dwóch panów i jednej pani:

— Dzisiejsza młodzież pada coraz niżej, straszne zepsucie! — jęknął jeden z panów.

— To wina przykładów. Zjechało do nas tyle śmiecia z Królestwa, co to wstydu nie mają, gonią za robotnikami, po szpitalach się włóczą...

— To wina wychowania, wina matki, — odezwała się pani z oburzeniem.

Irena skorzystała z zatrzymania się tramwaju, wskoczyła blada z gniewu i udała się, jak to zamierzała, wprost do szpitala.

W kurytarzu czekał na nią Tomasz, któremu jako rekonwalescentowi pozwolono opuścić łóżko. Był to zaledwie cień dawnego Tomasza, sama skóra i kości, z twarzą przedwcześnie pomarszczoną, a brudna kapota szpitalna, brudniejsza koszula, robiły wrażenie wielkiej nędzy i upadku.

Ujrzawszy z daleka Irenę, z trudem zrobił kilka kroków, opierając się o ścianę, a gdy się zbliżyła, wzruszony całował jej rękę mówiąc:

— Sam anioł nie jest lepszy, — i brudną ręką odgarnął lepkie, długie włosy ze spoconego czoła.

Inni rekonwalescenci z widoczną zazdrością i gniewem wpatrywali się w Irenę, a jeden z nich odezwał się ze śmiechem do towarzysza, dość głośno, ażeby posłyszała Irena:

— Hej, gdybym miał dziewuchę, byłoby mi tak dobrze, jak temu Królewiakowi.

— Nie każdy na głupią trafi, — odpowiedział mu towarzysz.

Irena pod wpływem rozmowy posłyszanej na ulicy i tych brutalnych słów dwóch chorych, odruchowo poczuła żal do Tomasza, jako do przyczyny doznanych przykrości. Silne dotychczas jej współczucie zostało lekko stłumione i patrzała krytycznie na niego.

— Dlaczego nie umyjecie sobie rąk, Tomaszu?

— Bo to, proszę panienki, obiad jemy palcami, a potem do cebrzyka docisnąć się trudno i wytrzeć rąk niema o co, bo jedna szmata dla wszystkich a brudniejsza od podłogi.

— Zawsze można sobie poradzić, — powiedziała niepewnym głosem, — przyniosę wam ręcznik.

— Dziękuję panience; a może i jaką chuścinę do nosa...

— Czy dzisiaj wam lepiej?

— Niekoniecznie, przeziębiłem się w nocy.

— Jakim sposobem?

— Ee! co tam gadać... musiałem wstać, a kurytarz zimny, przeciągi, i z dreszczami wróciłem do łóżka. To prawdziwa męka wyżyć tutaj. Żadnej opieki, żadnego porządku, z bydlęciem lepiej się obchodzą, — skarżył się rozgoryczony.

— No, tak źle nie jest, — pocieszała go Irena, — zawsze jest doktor, lekarstwa, siostra szarytka...

— Tak się widzi, — doktor dobry człowiek, ale nie poradzi sam jeden na tylu chorych. Dobrodziejka zachodzi, ale słucha, co jej prawią zausznicy, sama nie wejrzy, a łaskawa tylko dla pochlebców, a najbardziej dla neofity.

— Jakiego neofity? — spytała zdziwiona.

Tomasz obejrzał się trwożnie i zniżył głos do szeptu:

— Bo to widzi panienka, obok mnie, ale na czystem, z dwoma poduszkami, leży żyd. Ten prawi, że chce się nawrócić; dają mu też pieczone i warzone, codziennie dostaje cielęcinę ze śliwkami. Udaje szelma i dobrze mu z tem.

— Skądże wiecie, że udaje? a może naprawdę nawróci się.

— Co też panienka gada! Toć słyszę jego mamrotanie żydowskie, a na medaliki i krzyż patrzeć nie może i na noc chowa pod poduszkę, a tylko w dzień zawiesza sobie na wierzchu, na koszuli, ażeby wszyscy widzieli.

— A na sali nie umniejszyło się chorych? — zmieniła Irena temat rozmowy.

— Różnie bywa; jedni umierają, drudzy się wypisują, ale chorych nie braknie i pełna ich sala, a w nocy to taki zaduch i smród, że aż dusi. I straszno jest. Na taki gmach jedna lampka ledwie się ćmi... a ten charkocze, ten stęka, tamten bredzi, ów umiera... to mówię sprawiedliwie, prawdziwy czyściec, i co rana aż dziwię się, że jeszcze żyję.

— O, wam już znacznie lepiej. A kiedy się wypisujecie?

— A chociażby i dziś, ale pan doktor mówił, że zaraz choroba wróci, że muszę czekać, i gdybym tylko miał co jeść, a nie te obrzydliwości łojowate, i miał czem oddychać, za trzy dni wyszedłbym i nigdy nie spojrzał w tę stronę.

Oboje byli tak zaprzątnięci rozmową, że nie dostrzegli zbliżającej się szarytki, która przemówiła spokojnie i zimno:

— Nie można chorego niepokoić i rozdrażniać rozmową zbyteczną, — spojrzała na twarz Tomasza z wypiekami podniecenia i rozkazała:

— Idź do sali, połóż się! a pani, — zwróciła się do Ireny, — opóźnia przez te odwiedziny powrót chorego do zdrowia, — poszła dalej.

Irena, upokorzona, nie śmiała podnieść oczu na świadków tej sceny, przeczuwając, że patrzą na nią z tryumfem i szybko opuściła szpital z żalem i goryczą do świata i ludzi.

Dopiero na ulicy rozpromienionej słońcem wiosennem wróciła do równowagi, i rozmyślając nad sposobem przyniesienia ulgi i pomocy choremu szła ku domowi.

— Jakąż to poważną kwestyę rozstrzyga pani? — przywitał ją doktor Lencki z uśmiechem.

Irena spojrzała na niego oczami jakby ze snu zbudzonemi i podała rękę:

— Dzień dobry panu.

— O, naprawdę była pani bardzo zajęta myślami. Czy spotkało panią co przykrego?

— Tak... dosyć... miałam niemiłe spotkania.

— Czy i ja do nich należę?

— Nie! Pana uważam za dobrego i szczerego człowieka, ale ci inni...

— Jeśli to pani sprawi ulgę, opowiedz mi pani, może znajdziemy jakie lekarstwo. Domyślam się, że

przechodzi pani znaną mi chorobę, którą można wyleczyć na pewno, — uśmiechnął się.

Irena przypuszczając, że Lencki jako specyalista upatrzył w niej znamiona jakiejś choroby, spytała swobodnie:

— Nie chciałabym, ażeby pan niepokoił moją matkę tą chorobą, niech mi pan ją nazwie.

— Przechodzi ją każdy przeniesiony na stały pobyt do innej strefy, a nazywa się chorobą przystosowania do klimatu.

— Ach, więc pan wie?! — zawołała zdziwiona.

— Nic nie wiem, ale dość dawno zamieszkuję to miasteczko, ażebym znał różne bakcyle i miazmaty miejscowe. Zatem panno Ireno, co się stało?! — szli plantami.

— Przypomina pan sobie, że robotnik, ten z Warszawy, dostał się do szpitala?

— Tak, wiem; i pani wraca od niego?

— Tak jest. On jest tak opuszczony, nikogo tu nie ma, a był taki dzielny, brał czynny udział, uspokoił mamę, gdy Romek został zatrzymany w cyrkule...

— Rozumiem pobudki pani, ale inni patrzą na to z usprawiedliwioną podejrzliwością.

— Jakto usprawiedliwioną? — oburzyła się.

— Tylko spokojnie, panno Ireno. Kraków jest konserwatywny, przyzwoity, ma swój styl i swoją etykę. Niechże pani stanie raz na stanowisku Krakowa i spojrzy bezstronnie na siebie. Wówczas zrozumie pani, ile niewłaściwości, a mówiąc szczerze, grzechów wołających o pomstę popełniła pani tu, w Krakowie.

— Ja? Ani wiem, ani się domyślam! Może zechce mnie pan oświecić.

— Dobrze, proszę mnie słuchać uważnie. Opowiem pół-bajkę, pół prawdę. Przyjeżdża do Krakowa ładna panna, szykowna, ale ze skazą od urodzenia, bo nie tutejsza. I zamiast wzorować się na formach panien krakowskich, złożyć rączki w koszyczek, oczki na ostatni guziczek, zapisuje się na uniwersytet, rozmawia swobodnie o swych przyszłych dzieciach, o wychowaniu, pozwala się odprowadzać do domu mężczyznom, wraca sama późno, nie uwielbia chińszczyzny krakowskiej, ma odwagę odrzucić jedną z najświetniejszych partyi w Krakowie, nie chodzi do kościoła, nie widują jej na sumie, na balach, a na dobitek, odwiedza sama robotnika, mężczyznę w sali szpitalnej dla mężczyzn, nosi mu owoce, ciastka, łakocie i to tak często, z niepojętą wytrwałością. Pani słucha? Pani rozumie?

— Mów pan dalej — prosiła wesoło.

— I znów shocking! — Zamiast skruchy, pokory i żałowania za grzechy, pani się śmieje, — mówił udając wielką powagę.

— Jeszcze skruchy nie czuję, niechże mnie pan nawróci.

— Zaczynam wątpić, ale spełnię mój obowiązek, — westchnął. — Czy pani może widzieć w tem niesprawiedliwość, brak logiki, objaw niechęci, gdy tę ładną pannę pobożne damy krakowskie uważają za wyrodka? I naturalnie, każdy jej krok, każde odezwanie się, każdy spacer, każde odwiedziny, budzą w nich słuszne podejrzenie, obawę skandalu, i we wszystkiem dopatrują lekceważenia ich zasad, przekonań, opinii, a w rezultacie, powiedz pani sama, naco taka panna zasługuje?

— Już wiem, — zaśmiała się, — na obmowę i plotki.

— O, za łagodnie pani ją osądza. Gdybyśmy żyli w dawnych, dobrych czasach, zostałaby co najmniej wyświecona z miasta, a na dziś wystarcza szarpanie jej opinii, dokuczanie na każdym kroku, i to nie od znajomych lub przyjaciółek, ale od wszystkich dbających o cześć i dobrą sławę miasta, bez różnicy stanu i zawodu. Szarpnie panią stróżka, służąca, sklepikarka, sąsiedzi z jednej ulicy, z jednej dzielnicy, aż dojdzie na rynek i piękna panna jest zgubiona.

Irena odruchowo uprzytomniła sobie, że już dzieje się jej ta krzywda, opuściła ją wesołość i rzekła z ukrytym niepokojem:

— Może dyagnoza prawdziwa, a lekarstwo na tę chorobę?

— Albo zastosować się do skostniałych form, albo iść przebojem, jeśli się ma dostateczny zapas sił.

— Namyślę się nad tem... Proszę pana, czy tutejszy szpital jest taki ubogi?

— O co idzie?

— Niema najpierwotniejszych urządzeń hygienicznych: kąpieli, wentylacyi, światła elektrycznego lub gazowego, dostatecznej i wyszkolonej usługi. I taki brud, złe odżywianie i ogólny ton niechęci dla chorych, tem gorszy, że w oczach całej przepełnionej sali.

— Za dużo kwiatów, — uśmiechnął się ironicznie.

— Jak pan to rozumie?

— Za wiele pytań naraz. Przedewszystkiem szpital jest bardzo bogaty i taki hojny, że odstąpił bezpłatnie rządowi parcelę budowlaną wartości około stu tysięcy koron. Ale zarząd spoczywa tylko w ręku administracyi i sióstr miłosierdzia, a obydwie te instytucye są nietylko najzupełniej niezależne od lekarzy, ale im nieprzychylne. Lekarze, proszę pani,



— A co pani zrobi bez sługi? Kto posprząta, wyszoruje, wypierze?

są w szpitalu zaledwie tolerowani jako złe konieczne i nieuniknione.

— To niemożliwe! W mojem wyobrażeniu szpital łączy się ściśle tylko z doktorem.

— Tak bywa gdzieindziej, ale nie w Krakowie. My uprawiamy wielką politykę, stawiamy pomniki, dajemy zasiłki takiej na przykład szkole zakonnic Niemek, germanizujących polskie dzieci, ale chorzy dostają ochłapy i pożerają je bez noży, widelców, wolno im jednak obcierać brudne palce w jedną, wspólną, starą ścierkę.

— Ale dlaczego nikt o tem nie napisze, nie poruszy tego? Macie przecież Sejm, prasę.

— I my o tem wiemy, ale: „próżny trud, daremne narzekania!"

— Zdaje mi się, że gdyby na czele szpitala stanął jakiś dzielny, energiczny doktor, zaprowadziłby tam ład i porządek.

— Urojenie! Nie brak u nas takich, i robią oni co tylko mogą, ale i najdzielniejszy nie rozbije muru głową, zwłaszcza, że wszystkie czynniki wchodzące w skład szpitala są mu przeciwne. Pani mało się zna na medycynie, ale zrozumie pani, jak zupełna musi być zależność lekarza, jeśli nie może doprosić się u administracyi pokoju na pracownię i zaopatrzenia w przyrządy nieodzowne do badań klinicznych, jak mikroskop, przyrząd do badania krwi, wydzielin, i tak dalej.

— A jakże leczą oni wobec tych wszystkich braków?

— Robią co mogą, a resztę zostawiają Panu Bogu i pobożnym modlitwom.

— Ależ pan mówi z goryczą.

— Nic dziwego. Wszystko tam razi, boli i rozgorycza hygienistę i doktora. Jako jeden z drobnych szczegółów przytoczę, że cała służba szpitalna jest najzupełniej niezależna od doktora, on nie ma prawa wyboru, zatrzymania lub oddalenia dozorcy lub sługi niesumiennego i nieposłusznego jego rozporządzeniom lekarskim. Jednak dość o tem, przejdźmy na weselszy temat. Dawno pani widziała ciocię?

— Dosyć dawno. Czy ma pan o nich może jakie wiadomości?

— Mówią, że pan Maryewski oświadczy się lada dzień.

— To dla mnie obojętne.

— A co słychać z panem Romanem? Tak go dawno nie widziałem.

— Romek chodzi kwaśny. Zdaje się, że jego sercowe sprawy nie idą zbyt pomyślnie.

— Z czego pani to wnosi? bo o ile ja wiem i słyszałem, panna z nim sympatyzuje.

— Może, nie wiem; ale onegdaj wybierał się z mamą z wizytą do państwa Filarków i niespodziewanie rozmyślił się i odłożył tę wizytę.

— Tak, to daje do myślenia, ale otóż i on, tam, na prawo.

Za chwilę zbliżył się do idących Roman powitany pytaniem Ireny:

— Już z biura? tak wcześnie?

— Uwolniłem się, mam ważny interes.

— Domyślam się, — powiedziała Irena z uśmiechem, — idziesz taki wystrojony, z bukietem... Jak jednak serce zmienia człowieka, panie doktorze.

— Stara piosnka, — uśmiechnął się, — i stara poezya: Jakoś mi tęskno, senno i głupio...

— Znam, znam, — zaśmiała się Irena, — ale Romkowi wolno kochać, a tamtemu zabroniono.

— Fałszywa cytata, — zaśmiał się Roman. — A ty skąd wracasz Irenko?

— Od Tomasza. Jest mu już lepiej.

— To szczęśliwie, bo właśnie chciałem cię prosić, ażebyś nie odwiedzała go tak często.

Irena i doktor zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenie, a doktor szepnął:

— Już połknął trutkę.

— Romek, skąd to żądanie? Jeszcze onegdaj dałeś mi na pomarańcze dla Tomasza.

— No, widzisz... ty, jako panna, musisz uważać na pewne formy i na zapatrywania innych ludzi.

— Czy ty do tych ludzi należysz? — zaśmiała się.

— Ja, nie.

— A pan, panie doktorze?

— Jako Krakowianin przechylam się do zdania pana Romana, ale nie należę do tych innych ludzi.

— Słyszysz Romku? No, przyznaj się, kto są ci inni?

— A chociażby wuj Terlikowski.

— Jako echo cioci? — zaśmiała się.

— Niekoniecznie.

— Domyślam się, — odezwał się doktor, — stacya telefoniczna pan adjunkt, stacya odbiorcza: pani radczyni i całe zacne grono. Jestem pewny panie Romanie, że echo dojdzie do architektury... i dalej.

Roman poczerwieniał, jak gdyby był pochwycony na gorącym uczynku, a Irena zawołała ze śmiechem:

— Aż pod filary!

Roman zaczerwieniony i zmieszany bronił się się dość niepewnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojna podczas pokoju.

Obok armat i dobrych karabinów największą rolę w armii nowożytnej odgrywają oddziały techniczne.



Niebezpieczne Tatry: Naczelnik tatrzańskiego Pogotowia ratunkowego p. M. Zaruski (X) dokonywa poszukiwań zaginionej p-ny Szystowskiej w lejku kratowym na Małołączniaku. (Fot. „Tatry", Zakopane).

Od ich sprawności i umiejętności pracowania na każdym terenie zależeć mogą losy każdej kampanii wojennej. Oddziałami takimi są pułki kolejowe, telegraficzne, aeronautyczne itp. Wojsko nie ogranicza się bowiem do korzystania z usług kolei państwowych, ale posiada własne kolejki polowe, które mogą być wybudowane w przeciągu kilku godzin, opatrzone telegraficznymi i telefonicznymi połączeniami i w czasie wojny stanowić ważne arterye komunikacyjne militarne.

Główną siedzibą austryackich pułków kolejowych jest Korneuburg. Wojsko posiada tam nawet pewne linie kolei normalnej, które we własnym zarządzie prowadzi, aby ćwiczyć żołnierzy w służbie kolejowej. Prócz tego przy każdej większej komendzie istnieją oddziały kolejowe. W Galicyi znajdują się one w Krakowie i Przemyślu.



Wojna podczas pokoju: Przewóz kolei polowej przez San pod Krasiczynem. (Fot M. Todt, Przemyśl).

Oddział przemyski odbywał przed kilkunastu dniami większe ćwiczenia w Krasiczynie, gdzie zbudowano kolej polową i przeprowadzono ją przez San.

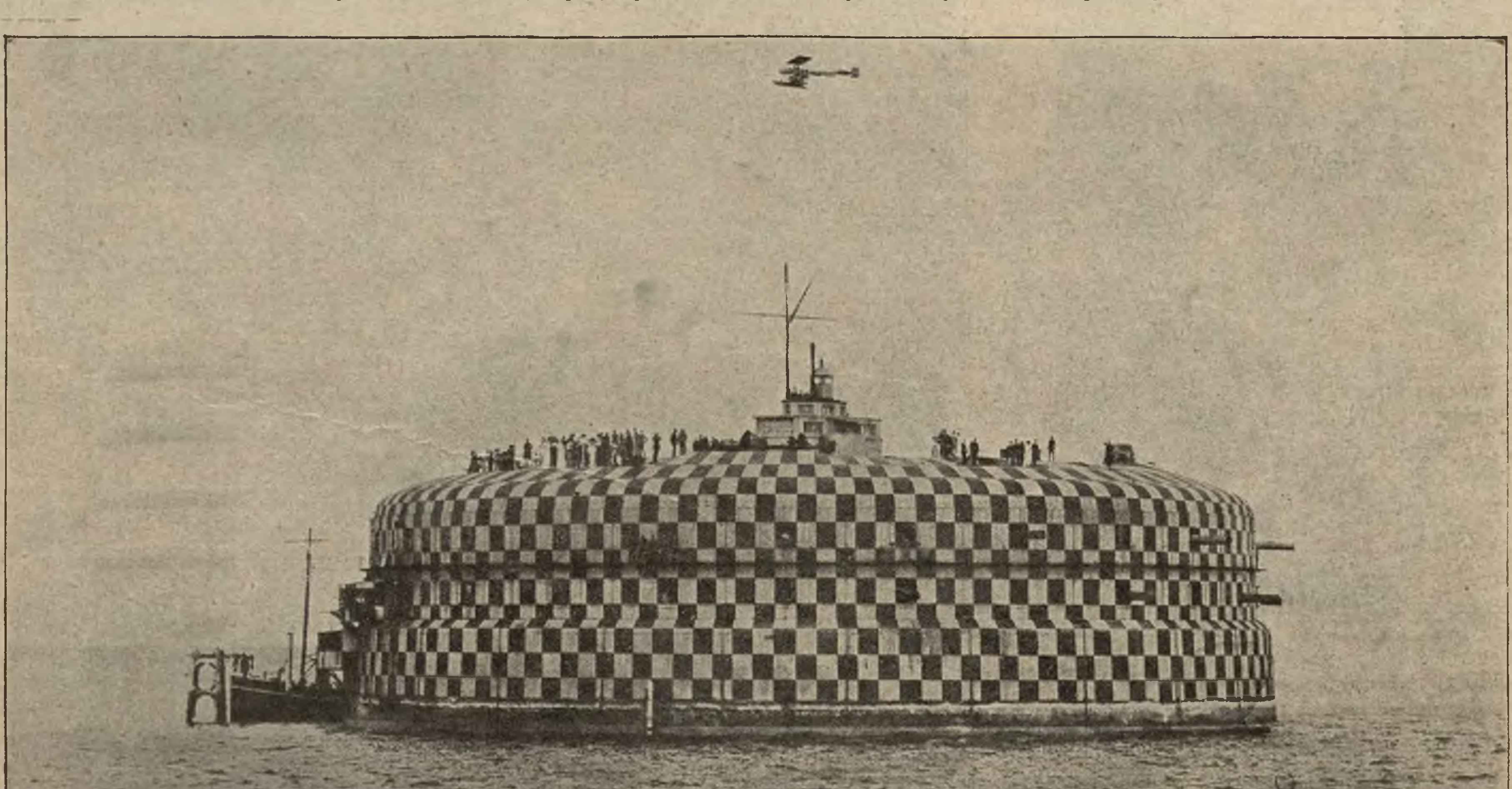
Illustracya nasza przedstawia przewóz części składowych kolei polowej przez San pod Krasiczynem.

Walka z flotą powietrzną.

Zastosowanie balonów i aeroplanów do celów wojennych, wywołało naturalnie wysiłki w tym kierunku, aby zabezpieczyć się przed atakami z powietrza. Podczas toczącej się obecnie wojny włosko-tureckiej po raz pierwszy praktycznie wypróbowano skuteczność pocisków, rzucanych z aeroplanów i okazało się, że można nimi równie skutecznie walczyć jak armatami.

To też twórczość wynalazcza wojskowych techników wysila się obecnie w tym kierunku, aby znaleść odpowiednie armaty i zabezpieczenia, któreby chroniły przed bombami, rzucanymi z aeroplanów. Do walki armatniej używa się dział Krupa najnowszej konstrukcyi, umieszczonych na automobilowych wozach. Z dział tych strzelać można w górę, ścigając balony lub aeroplany.

Wobec możliwych w dzisiejszej wojnie ataków aeroplanowych technicy wojenni przemyślają obecnie



Walka z flotą powietrzną: Fort morski na wybrzeżu Anglii, przeznaczony do walki z aeroplanami.



Znowu katastrofa budowlana we Lwowie: Odkopywanie zasypanych robotników. (Fot. M. Münz, Lwów).



Znowu katastrofa budowlana we Lwowie: Dom przy ulicy Kleparowskiej, (X) w którym wydarzyła się katastrofa. (Fot. M. Münz, Lwów).

nad zabezpieczeniem fortów i obozów przed bombardowaniem z góry.

Pierwszą próbą w tym kierunku jest fort wodny, zbudowany w Anglii u wjazdu do jednego z portów wojennych. Stanowi on zarazem stacyę hydro-aeroplanów, a zbudowany jest specyalnie do walki z aeroplanami. Cały pokryty jest pancernym dachem, ochraniającym fort przed rzucanymi z góry pociskami i zaopatrzony w armaty najnowszej konstrukcyi.

Illustracya nasza przedstawia ten pierwszy fort, przystosowany do walki z flotą powietrzną.

Znowu katastrofa budowlana we Lwowie.

Lwów od kilku lat zaczyna słynąć z... katastrof budowlanych. Nie ma prawie miesiąca, aby dzienniki nie doniosły o jakimś wypadku. Niektóre z nich są bardzo tragiczne i niejednokrotnie pociągały już za sobą ofiary w życiu ludzkiem. Trudno zagłębiać się w przyczyny tego fatalizmu budowlanego, który ciąży nad Lwowem. Nie ulega jednak wątpliwości, że w znacznym stopniu winną tu jest spekulacyjna gorączka budowlana, która ogarnęła w ostatnich czasach miasto.

Do licznego szeregu lwowskich katastrof, przybyła obecnie nowa. Mianowicie przed kilku dniami runął znowu mur w przebudowywanej kamienicy przy ulicy Kleparowskiej, a spadające rumowisko zasypało trzech robotników, Dymitra Łysaka, Andrzeja Macarskiego i Maksyma Goima. Przybyła straż pożarna wydobyła wszystkich trzech z pod gruzów w opłakanym stanie. Łysak ma złamaną lewą nogę, Macarski zaś obie. Goima wydobyto już nieżywego, gdyż spadające cegły połamały mu stos pacierzowy, tak, iż skonał pod gruzami.

Goim był żonaty i pozostawił pięcioro małych dzieci.

Śledztwo przeprowadzone na miejscu katastrofy wykazało, że przy przebudowie muru granicznego między dwoma kamienicami, nie zachowano najmniejszych środków ostrożności. Mur burzono kawałkami,



Niebezpieczne Tatry: Juhasi liptowscy, których badano i rewidowano w sprawie p-ny Szystowskiej. (Fot. „Tatry", Zakopane.



Sufrażystki przy pracy: Napad sufrażystek na jadącego automobilem premiera angielskiego Asquitha.

zastępując go nowym. Zawalenie groziło już od kilku dni, mimo to pracowano dalej.

Illustracye nasze przedstawiają dom, w którym wydarzyła się katastrofa oraz odkopywanie zasypanych robotników.

Sufrażystki przy pracy.

„*Votes forwomen!*“ to hasło, które nie daje spać angielskim sufrażystkom a zarazem i tamtejszym ministrom dało się już nieraz we znaki. Niejeden z nich nosi na sobie ślady „robót ręcznych“ kobiecych, z galanteryą jednak, ale i z prawdziwą albiońską flegmą przechodzi do porządku dziennego nad roszczeniami niewieściego rodzaju, któremu gwałtem zachciało się politykowania.

Pisma angielskie cytują w ostatnich czasach cały szereg bohaterskich czynów tamtejszych amazonek. Oto najważniejsze z nich.

Minister spraw zagranicznych Mac Kenn, wszedłszy do swego biura, spostrzegł pod oknem na podłodze bombę, ale nie pilznera, lecz prawdziwą. Podejrzenie zwróciło się natychmiast przeciw sufrażystkom, które miały ją podłożyć albo ze zemsty za odkładanie reformy wyborczej, albo też celem delikatnego przypomnienia rządowi tej sprawy.

Drugą ofiarą był minister kolonii, Lewis Harcourt, którego w nocy chciała usmażyć żywcem panna Helena Craggs. Zatrzymano ją, gdy w towarzystwie jakiejś koleżanki kręciła się koło pałacu ministra. Znaleziono przy niej lont i spirytus.



Odkopane cmentarzysko we Lwowie: Kości ludzkie, wykopane na miejscu dawnego kościoła św. Stanisława. (Fot. M. Münz, Lwów).



Zmiecione miasto: Zniszczone przez cyklon miasto Regina w Kanadzie.

Najgorzej jednak na tym stosunku, jaki się wyrobił z czasem między angielskim rządem a sufrażystkami, wychodzi stale prezydent gabinetu Asquit, który już kilkanaście razy zaczepiony był przez wojownicze niewiasty a nawet boleśnie obity i podrapany. Ostatnio znieważyła go czynnie pewna niewiasta, gdy przejeżdżał automobilem.

Nie lepiej poszło sekretarzowi stanu dla Irlandyi, Birrelowi, Lloyd Georgowi, Churchillowi i Greyowi.

A jakiż wynik tych walk i napadów? Rząd przedłożył parlamentowi, projekt reformy wyborczej, nie uwzględniający jednak postulatów kobiecych. Asquith jest zdeklarowanym przeciwnikiem żądań sufrażystek, Lloyd George i Grey zgadzają się na nie z pewnemi zastrzeżeniami. Ostateczną decyzyę zostawiono parlamentowi, który może wnieść do rządowego projektu poprawkę, przyznającą kobietom czynne i bierne prawo wyborcze, a gabinet nie będzie się temu sprzeciwiać.

Parlament jednak wcale się z tem nie spieszy a sufrażystki, mszcząc się na ministrach, których posądzają o nieszczerość, szkodzą tylko własnej sprawie, bo w Anglii gwałtem niczego dokonać nie zdołają.

Zmiecione miasto.

Obok wielu osobliwości, których nie spotyka się w innych częściach świata, posiada Ameryka jedną, mniej przyjemną, wkraczającą w dziedzinę aury. Są to straszne cyklony, które co jakiś czas pojawiają się w Ameryce i niszczą całe okolice. Powstają one zazwyczaj na morzu lub na rozległych stepach amerykańskich i ze straszliwą siłą pędzą ponad lądem, łamiąc i niszcząc wszystko przed sobą. Cyklon taki, jeśli na swej drodze napotka las, wyrywa w nim drogę, jakiej nieraz przez kilka lat pracy nie zdołano by wyciąć, a miasta burzy często prawie do fundamentów.

Niedawno szalał taki cyklon w Kanadzie zachodniej, gdzie zniszczył zupełnie miasto Regina, burząc prawie wszystkie domy. Szkoda spowodowana cyklonem wynosi 600 tysięcy funtów szterlingów, czyli około 30 milionów koron. W czasie katastrofy zginęło także pod gruzami walących się domów mnóstwo ludzi.

Illustracya nasza przedstawia zburzone cyklonem miasto, pokryte szczątkami zawalonych domów.

Odkopane cmentarzysko we Lwowie.

„Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz“ — o prawdzie tej ludzie, porwani gorączką życia, najczęściej zapominają... Dopiero gdy staną oko w oko ze śmiercią, lub gdy przypadek każe im spojrzeć na zbielałe kości dawnych pokoleń, przypominają sobie o znikomości istnienia ludzkiego.

Śmierć niszczy wszystko, ale i życie jest potęgą, która przytłacza swym rozgwarem codzienne



Odkopane cmentarzysko we Lwowie: Czaszki wykopane pod fundamentami zburzonych domów między ulicami Kazimierzowską, Furmańską i Rzeźniczą. (Fot. M. Münz, Lwów).



Kołomyja pod wodą: Czarny Potok i uszkodzone przez powódź domy na ulicy Bednarskiej.



Kołomyja pod wodą: Zburzony przez wylew Czarnego Potoku most w ul. Sobieskiego

tragedye zgonów i prochy cmentarzysk... Na grobach pleni się często życie, nie przeczuwając, że fundamentem jego jest śmierć i spróchniałe kości. Na taki zapomniany zabytek dawnego życia natrafiono w tych dniach we Lwowie przy burzeniu domów między ulicami Kazimierzowską, Furmańską i Rzeźniczą. Pod fundamentami znalezinno tam setki ludzkich szkieletów, leżących bądź w nieładzie masowo, bądź w trumnach. Odkrycie to przypomniało dopiero, że w miejscu tem stał niegdyś kościółek św. Stanisława, zbudowany w XIV wieku. Kościółek, przy którym znajdował się cmentarz, w wieku XVIII został zburzony, a na jego miejscu wzniesiono na początku wieku XIX mieszkalne budynki. Przy budowie tych domów nie zadawano sobie jednak tyle trudu, aby grunt cmentarny oczyścić z szkieletów. — Na kościach ludzkich wzniesiono domy, w których przez cały wiek ludzie rodzili się, żyli i umierali...

Dopiero teraz po zburzeniu tych domów odkopano dawne cmentarzysko i spróchniałe szczątki minionych pokoleń wywieziono w dziesiątkach wozów na cmentarz janowski.

Illustracye nasze przedstawiają to zapomniane żniwo śmierci z przed wieków — wykopane stosy czaszek i kości ludzkich na dawnym cmentarzu kościoła św. Stanisława we Lwowie.

Obecnie na miejscu zburzonych domów mają stanąć nowe cztero i trzypiętrowe kamienice z pasażem w tym właśnie punkcie, gdzie stał kościół.

Kołomyja pod wodą.

Pożar i powódź są niepożądanymi, lecz niestety, stałymi gośćmi w naszym kraju. Te dwa żywioły corocznie powodują u nas olbrzymie straty, bo łatwopalny materyał naszych budowli (słomiane strzechy na wsi) i niedostateczne uregulowanie rzek i potoków — oddaje na łup ognia i wody dobytek, a często i życie ludzkie. O ile z klęską pożarów walczą skutecznie zakładane po miasteczkach i wsiach straże ogniowe, o tyle ludność jest bezsilną wobec klęski powodzi, której może tylko zapobiedz należyta regulacya rzek i potoków...

Obok stałych sezonowych wylewów, które ludność nadbrzeżnych miejscowości przyjmuje z rezygnacyą jako *malum necessarium* — zdarzają się też różne niespodzianki, tem bardziej groźne dla mieszkańców. Taki nieprzewidziany wylew nawiedził w tych dniach Kołomyję. Z powodu nawałnicy wody Czarnego Potoku, przepływającego przez miasto, tak wezbrały, że w jednej chwili ulice przemieniły się w wartkie potoki. Most kolei lokalnej na ulicy Sobieskiego oraz 7 mostów zostało zerwanych, wskutek czego komunikacya w mieście została przerwana. Poziom wody w Potoku Czarnym dosięgnął wysokości mostów, a wzburzone fale przelewały się przez balustrady, zalewały ulice i domy aż do okien, unosząc belki, parkany i sprzęty domowe.

Ten nagły i trwający na szczęście tylko kilka godzin wylew wywołał w mieście ogromną panikę, a ludność w popłochu uciekała na dachy, patrząc bezradnie na szalejący żywioł.

Illustracye nasze przedstawiają uszkodzony most kolejowy oraz ulicę Bednarską po wylewie.



Nowy typ szkoły: Uczniowie i uczenice p. Okołowiczówny podczas lekcyi.



Niebezpieczne Tatry: Grupa członków Tatrzańskiego Pogotowia ratunkowego: 1) J. Marusarz, 2) S. Byrcyn Gąsienica, 3) J. Małachowski, 4) J. Lesiecki, 5) M. Zaruski, naczelnik Pogotowia, 6) J. Pękła, 7) H. Bednarski, 8) S. Tatara, 9) W. Tylko, 10) Mazurkiewicz, 11) Loria, 12) I. Watrytka zastępca naczelnika, 13) S. Zdyb.
(Fot. „Tatry“, Zakopane).



Niebezpieczne Tatry: Tatrzańskie Pogotowie przenosi rannego. Naczelnik Pogotowia p. M. Zaruski (X).

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

18)

Tłum. z francuskiego.

Pewnego poranka Liana de Valoys siedząc w swej ubieralni — podnosiła swą naturalną piękność sztucznemi środkami, których zresztą potrzeba nie dawała się jeszcze odczuwać.

Na toalecie rozłożone były najrozmaitsze przyrządy, w kosztownych oprawach ze starego srebra, z monogramami, cały arsenał kobiety, która go używa, by, pomimo biegnących lat — utrzymać czar i urok młodości.

Od jakiegoś czasu, pewne drobne poszlaki, które nigdy nie mylą kobiety — wskazywały Lianie, że Ferdynand, jej piękny kochanek — zaniedbuje ją. Dotąd miała tylko podejrzenia, drobne i nic nieznaczące, ale zazdrość męczyła ją straszliwie. Chciała zatrzymać przy sobie niewiernego i pragnęła uczynić się tak piękną i czarującą, żeby nie był w stanie opuścić jej.

Wczoraj oczekiwała napróżno do północy — nie przyszedł. Przewracała się na łóżku, płacząc ze złości, nie mogąc zrozumieć, czemu ją naraził na taki zawód. Czy przyjdzie teraz? Drżała z niecierpliwości. Wybiła jedenasta. Liana miała ochotę rozpłakać się, gdy nagle usłyszała turkot automobilu, który po chwili zatrzymał się przed jej domem. Prawie natychmiast odezwał się dzwonek elektryczny. To Ferdynand. Nie widziała go, ale była tego pewna. Serce biło jej szalenie — oddychała z trudnością. Ale była zbyt dumną, żeby okazać to kochankowi. Nie poruszyła się więc i z pozornym spokojem czerniła dalej brwi. Na schodach rozległy się ciężkie kroki — możnaby pomyśleć, słysząc je, że idzie starzec — kroki te zbliżyły się i ucichły na progu ubieralni.

— Czy to ty, Justyno? — zapytała Liana obojętnym głosem, odwracając się.

— Nie, to ja! — odparł głos szorstki i dobrze znany. — Mówiąc to, piękny Ferdynand rzucił ze złością panamę w kąt pokoju, opadł ciężko na fotel i bezmyślnie patrzył w podłogę.

— Cóż to? — rzekła Liana, wciąż nie odwracając się i śledząc każdy ruch kochanka w lustrze. — Cóż to? Już się mnie nie całuje?

Ferdynand odpowiedział wzruszeniem ramion. Wyjął srebrną papierośnicę i zapaliwszy egipskiego papierosa — zaciągnął się parę razy.

Zdziwiona tem milczeniem — Liana odwróciła się wreszcie. Przestraszyła się, ujrzawszy zmienioną twarz kochanka.

— Co się stało? — zapytała z niepokojem, podchodząc i siadając mu na kolanach.

— Ach! Daj mi spokój — odparł, odtrącając ją gwałtownie. Dużo mi z tego przyjdzie, jeżeli ci powiem, co się stało!

— Znowu grałeś, prawda?

— Tak, grałem — odparł chmurnie; — znowu grałem, jak raczyłaś powiedzieć. I cóż z tego? Mam nadzieję, że nie będziesz mi robiła wyrzutów...

— Ach, mój drogi! — zawołała z rozjaśnioną twarzą — to głupstwo, wcale się tem nie martwię!

— Przegrałem bardzo dużo — mruknął przez zęby, krzywiąc się.

— Naprzykład?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

Młoda kobieta podskoczyła, twarz jej spochmurniała.

— Nie możesz mi tyle pożyczyć?

— Nie... nie mam tyle — wyjąkała Liana.

— Dobrze, odmawiasz mi — rzekł chłodno. — Tak przypuszczałem. Nie mówmy o tem, zwrócę się gdzieindziej.

— Do kogo? — zapytała Liana ze ściśniętem sercem.

— Do twojej przyjaciółki, Violetty... Nie odmówi mi...

Podniósł się, poszukał kapelusza, chciał odejść. Było to zerwanie.

— Nigdy! — krzyknęła Liana, sadzając go przemocą na fotelu. Nigdy! Nie pójdziesz do tej kobiety... Przysięgnij mi, że nie zobaczysz się z nią nigdy, a dam ci te pięćdziesiąt tysięcy.

— Ależ mówiłaś przed chwilą, że nie masz.

— Znajdę.

— Jakim sposobem?

— Sprzedam moje klejnoty...

— Zrobisz zły interes, moja droga, stracisz na tem, conajmniej połowę. Nie, nie — można to lepiej urządzić.

— Nie rozumiem.

— A Vanesco? Zapomniałeś o nim? Od czegóż ou jest?

— Vanesco? Ależ on mi dał w tym kwartale masę pieniędzy, wiesz o tem dobrze...

— To nic nie znaczy.

— Przytem on jest zrujnowany, biedak.

— A, tak! Bankructwo jego teścia. Ba, cóż z tego! Przecież niepodobna, żeby nie miał dla ciebie jakiej rezerwy.

— Masz racyę. Będę u niego popołudniu.

Widząc, że młody człowiek bierze kapelusz, zapytała:

— Jakto, już idziesz? Nie będziesz jadł ze mną śniadania?

— Nie mogę — Max czeka na mnie o dwunastej w klubie.

— A! — rzekła Liana z rozczarowaniem. — Kiedyż się zobaczymy?

— Kiedy zechcesz.

— Więc dziś wieczorem, napewno, przyjdź jak najwcześniej. Pocałuj mnie, mój drogi. Przyrzekam ci, że nie wyjdziesz stąd z próżnemi rękami.

Tryumf zaświecił w chłodnych oczach Ferdynanda, odpowiedział bez zapału na namiętny uścisk kochanki. Co znaczyła dla niego miłość tej kobiety? Najgłówniejszą rzeczą było to, że dostał obietnicę „pożyczki".

Myśląc o tem, schodził powoli ze schodów. Gdyby był mniej zajęty myślami, mógłby zauważyć zgrabną sylwetkę Justyny, która na kilkanaście sekund przed nim zbiegła ze schodów, z pośpiechem, który zdziwiłby kogoś nawet mało podejrzliwego.

Subretka, wierna swym przyzwyczajeniom — podsłuchiwała pode drzwiami. Gdy piękny Ferdynand zeszedł ze schodów, Justyna wspięła się na palce i zdejmowała z wieszadła jego okrycie. Wyglądała tak ponętnie w swej krótkiej spódniczce, odsłaniając zgrabne nogi, że Ferdynand, zapominając o swych kłopotach, pochwycił ją wpół i pocałował w szyję.

— Och! — krzyknęła pokojówka tonem, z którego niepodobna było zrozumieć, czy zdziwił ją ten pocałunek, czy ucieszył.

— Cicho! — odparł na to szeptem młody człowiek. I zamknąwszy jej usta nowym pocałunkiem, dodał:

— Niedługo wrócę. Twojej pani nie będzie w domu. Mam ci coś powiedzieć.

ROZDZIAŁ II.

Czarne motyle.

W. K. Stephenson, wydając swą córkę za mąż, pomyślał o wszystkiem. Chciał, żeby jego zięć miał książęce mieszkanie, które wprawiłoby w podziw cały Paryż.

Dom doktora Vanesco przy arenie Kleber był bardzo elegancki, ale nie wystarczał miliarderowi. Poszukał więc czegoś lepszego.

Wybrał rezydencyę wspaniałą, prawdziwy pałac królewski, zbudowany nakładem ogromnych kosztów przez dawnego cesarza Meksyku w okolicy Gwiazdy — w czasie, gdy po rewolucyi, która pozbawiła go tronu — postanowił resztę życia spędzić w Paryżu. Od wielu lat, od śmierci starego monarchy — pałac ten był do sprzedania. Ale nikt nie zgłaszał się. Potrzeba było do tego kaprysu milionera. Milioner zjawił się w osobie W. K. Stephensona, który kupił pałac i uwił w nim gniazdko, dla swych dzieci.

Niestety, w gniazdku tem nie było szczęścia.

Biedna Zuzanna przypuszczała, że za swe miliony kupi szczęście. Szczęścia nie można kupić. Powtarza to sobie teraz młoda kobieta, siedząc przy oknie w jednym z pokojów swego olbrzymiego królewskiego pałacu, w którym czuła się tak samotną i opuszczoną. Jakże zmieniła się od czasu, gdyśmy ją widzieli wychodzącą z kościoła Świętej Magdaleny, z twarzą błyszczącą radosnym uśmiechem, przytuloną do ramienia męża, którego kochała, marząca o szczęściu.

Pozostał z niej cień. Blada, wychudła, siedzi całemi dniami przy oknie, zagłębiona w swych smutnych myślach. Przypomina sobie wszystkie troski, zgryzoty, zawody, nieszczęścia.

Wreszcie wiadomość o katastrofie finansowej, i o samobójstwie ojca. Przerzywa to wszystko na nowo w myślach.

Ach! gdyby miała się z kim podzielić swym bólem, gdyby mogła wypłakać się na czyjejś piersi! — Ale była sama, nie miała nikogo. Od kilku miesięcy siostra jej bawi w Ameryce, gdzie z całą zimną krwią i inteligencyą, zadziwiającą w jej wieku, stara się uratować resztki fortuny ich ojca. Pomimo serdecznej przyjaźni, jaka łączy siostry, listy z Ameryki są rzadkie. Ostatni zresztą przyniósł dobrą wiadomość: zapowiedź rychłego powrotu młodej dziewczyny. Być może, iż już wylądowała w Europie.

Na myśl o tem Zuanna wzdycha głęboko. W oczekiwaniu na przyjazd siostry, może nieprędki jeszcze — musi cierpieć w samotności. Mąż jest bardzo ostry dla niej.

W początkach małżeństwa wszystko było dobrze. Vanesco był uprzedzająco grzeczny i okazywał nawet przywiązanie. Ale stopniowo odsuwał się od niej, a w dniu, kiedy się dowiedział o katastrofie, opuścił ją zupełnie.

Biedna Zuzanna nie mogła bez drżenia myśleć o brutalnej scenie, jaka miała miejsce po otrzymaniu wiadomości o samobójstwie jej ojca.

Poszła wówczas do niego po pociechę w swym bólu. Vanesco odepchnął ją grubiańsko i zapomniał się do tego w gniewie, że podniósł na żonę rękę.

Od tego dnia życie stało się nie do zniesienia. Mąż począł nienawidzieć ją za zawód, jakiego doznały jego marzenia o wspaniałem życiu: mścił się na nieszczęśliwej kobiecie z wyrafinowaną zaciętością.

Zuzanna b ła zbyt dumną, żeby skarżyć się. Wobec znajomych, wobec służby tych dwoje, którzy nienawidzili się — stanowili parę, żyjącą w doskonałej zgodzie.

Stopniowo Vanesco począł powracać do swej dawnej kochanki, Liany de Valoys, z którą tak demonstracyjnie zerwał przed ślubem.

Zdarza się czasem, iż myślimy o kimś i w chwilę później widzimy tego kogoś, jakkolwiek nie spodziewaliśmy się tego wcale.

W chwili, gdy Zuzanna, idąc za biegiem swych myśli wymówiła z goryczą nazwisko kochanki swego męża, usłyszała nagle dźwięk trąbki automobilowej. Drgnęła i machinalnie wyjrzała przez okno. Ujrzała Lianę de Valoys we własnej osobie, podjeżdżającą we wspaniałym automobilu do pałacu.

Młoda kobieta nie mogła powstrzymać okrzyku zdumienia.

— Ach! co za bezczelność! Przyjeżdża do mego domu!

Zerwała się na równe nogi, zaczerwieniona, drżąca z gniewu. Szukała instynktownie szpicruty, laski, czegokolwiek, czem mogłaby obić tę bezczelna dziewczynę i kazać ją wyrzucić za drzwi. Ale nagle zatrzymała się: gniew jest złym doradcą. Co uzyskałaby przez ten gwałtowny postępek? Lepiej będzie dowiedzieć się, w jakim celu przyjechała tu ta kobieta? Jakiś instynkt uprzedził młodą Amerykankę, że w tej niespodziewanej wizycie ukrywa się jakieś niebezpieczeństwo.

W jednej chwili zdecydowała się, jak ma postąpić. Otworzyła ostrożnie drzwi i bez szmery wyszła na schody. Tu rozejrzała się i nie widząc nikogo, zeszła na dół. Z tysiącznemi ostrożnościami otworzyła drzwi z prawej strony i weszła do wielkiego salonu, który łączył się z gabinetem doktora. Drzwi, prowadzące do tego gabinetu, zasłonięte były ciężką portierą. W fałdach tej portiery ukryła się Zuzanna.

Zaledwie to uczyniła, usłyszała, jak w sąsiednim pokoju otworzono i zamknięto drzwi i w tej chwili rozległ się zdziwiony głos doktora:

— Ty? Ty? tutaj?

ROZDZIAŁ III.

Zły geniusz.

— A tak, to ja! — odparła Liana, wybuchając śmiechem. Przyjechałam oddać ci wizytę. Cóż w tem tak dziwnego?

Vanesco stał przez chwilę nieruchomo, blady, zaskoczony. Pytał sam siebie z niepokojem, czego może zażądać od niego ta kobieta, z której szponów nie był w stanie wyrwać się. Musiało być coś bardzo ważnego, skoro aż tu przybyła. — Wyjąkał z trudnością:

— Tu... tu...

Poczem podbiegł szybko do drzwi i zajrzał do salonu. Wiedział z góry, że rozmowa będzie burzliwą. W salonie nie było nikogo. Zamknął na klucz drugie drzwi, żeby nikt nie mógł przeszkodzić.

— Musiałam przyjechać do ciebie — mówiła tymczasem Liana, uśmiechając się ironicznie, — skoro ty do mnie nie chciałeś.

— Sądzę — rzekł sucho Vanesco, że nie potrzebujemy bawić się w komplementy. Powiedz mi odrazu, po co tu przyjechałaś...

— Nie jesteś bardzo elegancki — rzekła Liana, przymykając oczy.

Doktor wzruszył ramionami.

— Chcesz pieniędzy, prawda?

Liana przysunęła się z fotelem i wzięła doktora za ręce.

— Przedewszystkiem, nie unośmy się, mój drogi. Jesteś gentlemanem, takie mam przynajmniej zdanie o tobie i sądzę, że potrafisz zachować się, jak gentleman.

— Do rzeczy... do rzeczy... — mówił drżącym ze zdenerwowania głosem.

— Przyjdziemy do tego — odparła Liana wciąż uśmiechając się. A więc tak, zgadłeś, potrzebuję pieniędzy.

— Znowu! Zdaje mi się jednak, że kosztowałaś mnie dosyć drogo tego roku. Co ty robisz z pieniędzmi?

— Odpowiem ci krótko, kochany doktorze. Czy uważasz, że wypełniłeś wszystkie warunki naszej umowy? Mnie się zdaje, że nie. Obiecałeś mi, że po twoim ślubie niczego mi nie zabraknie. Miałeś postawić mój dom na stopie, odpowiadającej twemu nowemu położeniu. Czy zrobiłeś to?

Ach! tak mów mi o mojem małżeństwie, mów! — zawołał Vanesco z wściekłością. Pokazali mi miliony i sprzątnęli je z przed nosa.

— Doskonale! Widzę, że przypominasz sobie, że nie dotrzymałeś swoich obietnic. Tembardziej nie możesz odmówić mi przysługi, o którą poproszę.

— Ile? — zapytał lakonicznie doktor, wycierając batystową chusteczką pot, występujący na czole. Liana milczała przez chwilę, poczem rzuciła niedbale:

— Pięćdziesiąt tysięcy.

Vanesco czuł wściekłość chwytającą go za gardło. Ale powstrzymał się całą siłą woli, pragnąc to obrócić w żart.

— No, no — zawołał z wymuszonym uśmiechem — nie mówisz tego przecież seryo!

— Przeciwnie — odparła chłodno Liana — mówię zupełnie poważnie i dodaję, że te pieniądze potrzebne mi są na pojutrze wieczorem.

— Ależ to dzieciństwo! Przedewszystkiem nie znam długu z tak krótkim terminem, prócz długu karcianego.

— Rzeczywiście — to jest dług karciany.

— Twego kochanka?

— No, tak, mego kochanka. Przegrał i zobowiązał się słowem honoru zapłacić to pojutrze.

— Piękny mi honor!

— Lepszy od twojego. Ale nie o to chodzi. Biedny chłopak zwierzył mi się ze swego nieszczęścia i nie mogę robić mu zawodu. Zapłacę ten dług.

— Mojemi pieniędzmi?

— Twojemi pieniędzmi.

— Ależ ja ich nie mam. Moi dostawcy zdają się o tem wiedzieć, bo zaczynają mnie naciskać.

— A więc odmawiasz mi stanowczo?

— Nie odmawiam, ale nie jestem w stanie.

Liana wstała z groźnie błyszczącemi oczyma, drąc nerwowo koronkową chusteczkę.

— Ach! pan nie jest w stanie! Doskonale, pan wie, czem to panu grozi. W tej chwili, nie tracąc ani minuty idę do szefa bezpiecz...

Nie dokończyła, Vanesco zamknął jej usta dłonią, a drugą chwycił ją silnie za rękę.

Ale Liana nie krzyknęła. Przeciwnie, wybuchnęła śmiechem, dźwięczącym tryumfalnie. I podczas gdy Vanesco pożerał ją formalnie swemi oczyma, w których błyszczało przerażenie, pomieszane z dziką nienawiścią, młoda kobieta mówiła:

— Oto po raz drugi dowodzi pan, panie doktorze Vanesco, że jest pan brutalem. Ale przebaczam panu, pod warunkiem, że pan będzie rozsądnym. Niech pan nie robi takich strasznych oczu — widzi pan przecie, że te wszystkie machinacye nie robią na mnie żadnego wrażenia. Usiądźmy lepiej i pogadajmy. Ostatecznie — będę miała te pięćdziesiąt tysięcy franków, prawda?

Vanesco westchnął głęboko, zdawał się przez chwilę zbierać myśli, potem przysunął się z krzesłem i rzekł:

— Posłuchaj mnie Liano; możesz zemścić się, doprowadzić mnie do zguby, ale przez to nic nie zyskasz. Wszystkiemi, najstraszliwszemi groźbami nie potrafisz wyłudzić odemnie pieniędzy, bo przysięgam ci na wszystko, co mam najświętszego, że ich nie mam...

Widziała, że mówił prawdę, dalsze groźby do niczego nie prowadziły. Mimo to nie chciała się pogodzić z zawodem i zawołała w irytacyi.

— Dobrze! Wierzę ci, ale ostatecznie potrzebuję tych pieniędzy... muszę je mieć bezwarunkowo... Gdzie je dostanę?

— Jest bardzo prosty sposób i dziwię się, że nie pomyślałaś o nim odrazu. Masz przecież klejnoty.

— Nie chcę ich sprzedawać.

— Zastaw je. Daję ci słowo, że wystaram się o niezbędną kwotę, żeby je wykupić.

— Jaką gwarancyę mi dajesz? — zapytała z niedowierzaniem.

— Jaką gwarancyę? Ach, moja mała, więc potrzebujesz gwarancyi.

— Tak jest.

— A więc... zaczął szeptem.



— Ależ ja ich nie mam. Moi dostawcy zdają się o tem wiedzieć, bo zaczynają mnie naciskać.

Ale przerwał natychmiast, jakby przestraszony tem, co miał powiedzieć.

Liana spojrzała nań ze zdziwieniem.

— Nie poznaję cię — rzekła pogardliwie. Zdaje mi się, że się boisz. Zaczynasz upadać, mój biedny przyjacielu. Dawniej nie cofałeś się przed niczem, nic nie zdołało cię onieśmielić. Przeciwnie, im większe były trudności, tem śmielej działałeś. Żeby zadowolnić jakiś mój kaprys, żeby dostarczyć mi trochę pieniędzy, których dziś odmawiasz, nie wahałeś się...

— Milcz! Milcz! — zawołał Vanesco wystraszony.

— Doprawdy, litość wzbudzasz... Więc masz tak mało fantazyi, ty, człowiek tak śmiały?

— Jestem zrujnowany.

— Zrujnowany! Masz przecież miliony, po które trzeba tylko sięgnąć.

— Miliony? O czem chcesz mówić?

Liana wzruszyła ramionami.

— Jakto, nie rozumiesz naprawdę?

— Ależ przysięgam ci...

— Zamiast przysięgać, lepiej mnie posłuchaj. Widzę, że masz kurzą pamięć, więc muszę ci przypomnieć o pewnej polisie asekuracyjnej pani Vanesco.

— Nie widzę związku — wyjąkał lekarz, nie mogąc powstrzymać się od nerwowego drżenia.

Liana po raz drugi wzruszyła ramionami i ciągnęła dalej chłodnym tonem człowieka, który wykłada interes.

— Polisa ta, o ile mnie pamięć nie myli, opiewa na piękną sumę sześciu milionów franków, które będą tobie wypłacone...

— Ależ — przerwał jej doktor — nie mam przecież tych sześciu milionów. Mogę je otrzymać tylko po śmierci mojej żony, a, dzięki Bogu — pani Vanesco cieszy się dobrem zdrowiem.

To „dzięki Bogu" z trudnością przeszło mu przez gardło.

— Niestety! mój drogi przyjacielu — zawołała Liana z głębokiem westchnieniem, wszyscy cieszymy się dobrem zdrowiem. Ale nikt nie zaręczy, co się stanie jutro. W życiu dzieją się rzeczy tak dziwne! Weźmy choćby ciebie. Gdyby ci ktoś powiedział przed czterema miesiącami, że będziesz dziś zrujnowany, roześmiałbyś mu się w oczy. A jednak tak się stało. I wszystko się może stać. Wszyscy zależymy od przypadku. Pani Vanesco także. Przytem — zdaje mi się, że biedaczka jest bardzo wątłego zdrowia...

— Dosyć! dosyć! Zamilcz! — wykrzyknął Vanesco, bojąc się usłyszeć straszliwą propozycyę.

— O! — ciągnęła Liana z szyderstwem, udając, że nie rozumie przyczyny wzruszenia doktora, wiem, jak bardzo jesteś przywiązany do pani Vanesco i jak straszną byłaby dla ciebie jej strata. Ale jesteś mężczyzną, a mężczyzna powinien mieć dość sił, żeby znieść największe nieszczęście... Przypuśćmy na chwilę, że kobieta, którą ubóstwiasz, umiera...

— Morderstwo? — zawołał Vanesco tonem, w którym oburzenie brzmiało fałszywie.

Liana spojrzała nań z wyrazem dziwnej ironii — doktor spuścił oczy.

— Cóż za straszne słowo! Któż mówi o morderstwie? Zrobiłam przypuszczenie. Może przecież umrzeć naturalną umiercią... Nieprzewidziany wypadek... zła opieka w chorobie... fatalna pomyłka w zastosowaniu lekarstwa...

— Nie jestem trucicielem... — mruknął Vanesco tak cicho tym razem, że zaledwie można go było usłyszeć.

— A któż tu mówi o zbrodni? Powtarzam, że jest to tylko przypuszczenie. Ale pomyśl tylko, co by się stało wówczas. Przedewszystkiem dostałbyś te sześć milionów, które pozwoliłyby ci żyć z komfortem, jakiego potrzebujesz. Dalej opadłyby więzy, które ci tak ciężą, byłbyś wolny i mógłbyś znowu ożenić się świetnie i wziąć posag pewniejszy, niż tym razem.

Vanesco przeciągnął dłoń po czole. Był olśniony perspektywą, jaką ukazała mu piękna kusicielka. Przez długą chwilę panowało milczenie. Oboje siedzieli nieruchomo, wpatrując się w siebie.

— Więc? — rzekła wreszcie Liana, uderzając nogą w podłogę z niecierpliwością, gdyż uważała, że wspólnik jej za długo się namyśla.

— Masz racyę — rzekł Vanesco bardzo cichym głosem.

— Więc to postanowione? Dasz mi pięćdziesiąt tysięcy franków, gdy otrzymasz asekuracyę?

— Tak...

— I wykupisz moje klejnoty, które zastawię, żeby ocalić Ferdynanda.

— Tak... — rzekł zmęczony, rozdrażniony, z trudnością panując nad sobą.

— A jakąż będę miała gwarancyę. Musisz mi to napisać.

— O, co to — to nie.

— Żądam tego stanowczo.

— Dobrze, napiszę. Teraz pozwól mi przyjść do siebie, zastanowić się. Muszę pomyśleć o tem wszystkiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Krwawy dramat miłosny w Karlsbadzie: Ś. p. Otylia Pickowa. (Do art na str. 2).



Zamordowanie dyrektora fabryki: Pogrzeb ś. p. inż. Bojemskiego, dyr. huty „Handtke" w Rakowie pod Częstochową. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Zamordowanie dyrektora fabryki.

W ostatnich czasach ustały na szczęście w Król. Polsk. zabójstwa, spełniane na tle zatargu robotników z administracyą fabryk. W tych dniach jednak, po okresie względnego spokoju w stosunkach fabrycznych — spełniono znowu podobną zbrodnię. Mianowicie na jadącego konno dyrektora akcyjnej fabryki „Handtke" w Rakowie pod Częstochową, inż. Bojemskiego, napadło dwóch ludzi, którzy zasypali go gradem kul rewolwerowych. Trafiony trzema kulami, inż. Bojemski padł trupem na miejscu, a zabójcy zbiegli.

Zbrodnia ta wywołała ogromne wrażenie w całej Częstochowie. Policya miejska i powiatowa zarządziła natychmiast poszukiwania, które nie wydały na razie konkretnego rezultatu. Panuje jednak przypuszczenie, że zabójstwo to było następstwem jakiegoś zatargu na tle stosunków fabrycznych.

Z igrzysk olimpijskich.

(Do illustracyi na str. 4).

Jednym z najuroczystszych momentów zakończonych świeżo igrzysk olimpijskich była niewątpliwie chwila rozdania nagród zwycięzcom. Pierwsze nagrody wręczał zdobywcom król szwedzki Gustaw V, który witał podchodzących do trybuny nowoczesnych „bohaterów" olimpijskich podaniem ręki, poczem sam wkładał im na głowy wieniec laurowy.

Moment ten przedstawia właśnie nasza illustracya.



Zbrodnia czy wypadek: Antonina Zbrodowska (siedzi) z towarzyszką swą z Julią Szulcówną przed tragiczną wycieczką. (Zdjęcie, dokonane w dniu śmierci Zbrodowskiej).

Zbrodnia czy wypadek.

Wśród bardzo tajemniczych okoliczności zginęła w Warszawie przed kilku dniami młoda, bo 18-letnia dziewczyna, Antonina Zbrodowska. Ciało jej znaleziono w wykopach gliny, t. zw. gliniankach przy ul. Karolkowej, zanurzone w połowie w wodzie.

Policya wdrożyła w tej sprawie dochodzenia, które jednak nie wykryły właściwej przyczyny śmierci Zbrodowskiej.

Z zebranych szczegółów stwierdzono tylko, że wyszła ona z domu w towarzystwie swej przyjaciółki Szulcówny. Obie udały się do fabryki, gdzie Zbrodowska pracowała. Tam odebrała ona 6 rbl., poczem poszły do fotografa, gdzie się razem fotografowały.

Wieczorem udały się obie w towarzystwie czterech mężczyzn ku owym gliniankom na sparer. Po drodze kupiono wódkę i przekąski, którymi raczono się obficie. Spotkano także jeszcze jednę znajomą dziewczynę, którą zabrano ze sobą. Co się dalej stało, nie wiadomo. Szulcówna i owa trzecia dziewczyna wróciły na noc do domu. Zbrodowska nie wróciła, rano zaś zauważono jej zwłoki w gliniance, leżące nad wodą.

Śledztwo prowadzono pierwotnie w tym kierunku, że Zbrodowska padła ofiarą jakichś napastników, którzy dopuścili się na niej zbrodni, a potem utopili. Wyniki sekcyi jednak zaprzeczyły temu, natomiast stwierdzono śmierć wskutek pęknięcia serca.

W jakich okolicznościach ona nastąpiła, nie umieją wyjaśnić uczestnicy owej wycieczki, którzy twierdzą, że o niczem nie wiedzą.



Stukilometrowy wyścig Warszaw. Tow. Cyklistów: Ze startu rusza 60 jeźdźców. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

Zdaje mi się, że najbardziej opłakanym jest obecnie los dziennikarza, w szczególności zaś kronikarza, gdyż chyba nikomu, tak jak jemu, kanikuła nie daje się we znaki.

Bo proszę sobie tylko wyobrazić! Każdy przeciętny śmiertelnik, o ile tylko czuł w swej kieszeni cośkolwiek monety, a okoliczności tak się złożyły, że mógł opuścić duszną miejską atmosferę, zmykał, co miał siły, jeśli nie w góry, to przynajmniej gdzieś bliżej, choćby na Wolę Justowską lub Bielany i tu, na łonie przyrody, odpoczywa po trudach i oddycha pełną piersią. Kto zaś został w mieście, przeniósł się z pokoju do łazienki, pozbył się szat, krępujących swobodę ruchów i także, choć w ten sposób używa letnich wywczasów.

A trzeba i na to zwrócić baczną uwagę, że mamy tu już upały prawie nie do zniesienia. Dość powiedzieć, że termometr pokazuje nawet w nocy przeszło trzydzieści stopni i to do tego w cieniu! Meteorologowie pocieszają nas, że nie jest to jeszcze właściwa fala gorąca, bo ona dopiero się zbliża. Dobrzeby było, gdyby się tak spóźniła i odwiedziła nas dopiero w grudniu, zaoszczędziłby człowiek na opale!

Tymczasem biedny kronikarz musi siedzieć w Krakowie i pocić się przy biurku, a potem gonić, jak opętany po mieście w poszukiwaniach za sensacyami. A i po powrocie w zacisze domowego ogniska, gdzie przynajmniej czeka go spokój, gdyż cały żywy inwentarz, prócz myszy i karakonów wyjechał na świeże powietrze, nie może wypocząć, gdyż na gwałt uczy się międzynarodowego języka esperanto, bo wszechświatowy zjazd mamy już za pasem, a gości trzeba przyjąć należycie, oprowadzić ich po mieście, objaśnić pamiątki i osobliwości podwawelskiej stolicy.

Choć do komitetu nie należę, uproszono mnie, bym przyjął na siebie obowiązki objaśniającego zabytki budownictwa nowoczesnego, które podziwiać można na krakowskim rynku, a do których należy budowa domu Rosego przy ulicy Siennej i dawnego domu Fenza na rogu Szewskiej, oraz restauracya Maryackiej wieży, tak pięknie wyglądającej w podrutowaniu rusztowaniami.

Prócz tego wiele bardzo czasu poświęcam językowi węgierskiemu, wyczytałem bowiem w jednem z pism politycznych, że w razie, gdyby ustrój monarchii austryacko-węgierskiej z dualistycznego zamienił się na tryalistyczny (Austrya, Węgry, kraje południowo-słowiańskie), Kraków *ipso facto* dostałby się Węgrom, jako rekompensata za stratę Chorwacyi i Slawonii. Wiadomo zaś, że rodowici Węgrzy mają za ba i bardzo wszystkich tych, którzy nie mówią po madziarsku i nie jedzą papryki.

Przypuszczam, że właśnie z tego, a nie innego powodu podrożał znów w Krakowie gulasz węgierski i rozbratel Esterhazy. Ma to społeczeństwo przygotować na przyjęcie nieproszonych gości. Gotowi nam tu przysłać Csuvaja na gubernatora.

Dopiero po rozjechaniu się esperantystów wybieram się w świat szeroki i albo zawadzę o Maryenbad, gdzie mają się toczyć obrady naszych parlamentarzystów, albo pójdę za przykładem Krakowian, bojkotujących niemieckie bady i wybiorę się nad Bałtyk, do Sobot, gdzie bawi pół naszej rozszerzonej stolicy, wraz z panem prezydentem na czele.

Jako patryota, nie będę jednak napychał pełnym groszem szwabskich kieszeni, ale chciałbym ile możności żyć na kredyt, a potem długu nie zapłacę i w ten sposób wrogów naszych zniszczę na polu ekonomicznem.

Gdyby w ten sposób chcieli postępować i inni Polacy, Prusacy mogliby się spodziewać rychło ruiny, brakło by im pieniędzy nawet na balony Zeppelinowskie, budowane według projektów i planów ś. p. inżyniera Schwarza.

Największego z Niemców dwudziestego stulecia ogłoszono zwykłym plagiatorem i odarto ze sławy do tego stopnia, że nie dziwiłbym się wcale, gdyby z rozpaczy pękła mu po raz dziewiąty śruba, albo spalił się cały balon, jak to niedawno miało miejsce w Düsseldorfie.

Gorąca oddziałały fatalnie także na angielskie sufrażystki, które w czasie kanikuły przypomniały się znowu światu i poturbowały ministrów i to bez względu na to, czy są oni zwolennikami, czy przeciwnikami prawa wyborczego dla niewiast.

Babom zachciało się koniecznie zasiadać w parlamencie, powiedziały więc sobie, niech kosztuje, co chce, one muszą przecież na swojem postawić. Zapomniały jednak, że ich mężowie, ojcowie i bracia, stworzenia bardzo flegmatyczne, nie tak łatwo pozwolą się sprowokować i nie ustąpią, choćby nawet energia wojowniczych feministek wyładowywała się w sposób jeszcze bardziej drastyczny, niż się to dzieje obecnie.

Jednem słowem same szkodzą swojej sprawie, a swemi awanturami zrażają sobie nawet dotychczasowych zwolenników.

W ślad swych angielskich przyjaciółek idą i niewiasty innych narodowości, które coraz częściej i głośniej występują przeciw rzekomo znienawidzonemu przez siebie rodzajowi męskiemu, bez którego przecież żyć nie mogą! Konia z rzędem temu, kto mi pokaże przedstawicielkę płci pięknej, któraby bodaj na dnie serca nie żywiła matrymonialnych zamiarów.

A tymczasem wciąż nam załażą za skórę, gdzie się tylko sposobność nadarzy.

Mamy tego świeży przykład na ankiecie, jaką urządziła redakcya francuskiego pisma „*Femina*“, w sprawie wad mężczyzn. Odpowiedzi dawały kobiety, a z zestawienia ich przed redakcyę wynika, że istnieje dziesięć grzechów głównych rodzaju męskiego, które, co do stopnia rozpowszechnienia, tworzą następującą skalę: 1. Egoizm. 2. Zazdrość. 3. Niecierpliwość. 4. Nieumiarkowanie. 5. Tchórzostwo. 6. Niemoralność. 7. Despotyzm. 8. Złość. 9. Chełpliwość. 10. Lenistwo.

Jestem najmocniej przekonany, że ankieta urządzona przez mężczyzn w sprawie wad płci nadobnej, dałaby zupełnie podobne wyniki. Skromne niewiasty wolały jednak pozostać w tyle, nie lubią bowiem, gdy się im mówi prawdę w oczy a wolą się uważać za ulepione z lepszej gliny, niż ich męscy towarzysze.

Skala ich grzechów byłaby niewątpliwie obszerniejsza, i w innym ułożona porządku.

Dziwi mnie tylko jedno.

Ankietę ową omawia jeden z tygodników wychodzących we Warszawie i przychodzi do przekonania, że wady, wymienione przez pismo francuskie, są wadami ogólno-ludzkiemi, właściwemi wszystkim narodom i obu płciom w równej prawie mierze.

Zdaje mi się jednak, że choć artykuł odnośny sygnowany jest w ten sposób, iż należałoby przypuszczać, że autorem jego jest mężczyzna, wyszedł on przecież z pod pióra niewiasty, a przynajmniej przez nią był inspirowany.

Bo, proszę posłuchać, co dalej pisze:

„Jeśli bowiem niema wad wyłącznie kobiecych, istnieje przecież jedna, wyłącznie męska, tak powszechna, że pozbawiony jej mężczyzna jest bardzo rzadkim wśród swej płci wyjątkiem. W tablicy po wyżej przytoczonej zajmuje ona miejsce dziewiąte. Gdyby wszakże kobiety znały dobrze mężczyzn, umieściłyby ją na pierwszem.

„W języku francuskim nosi ona nazwę *fatuité*.

„Jest w mężczyźnie bowiem obok chełpliwości i zarozumiałości i pyszałkowatości i fanfaronada i próżność i samochwalstwo i przesadne mniemanie o sobie, wszystkiego po trochu, a cel tej *fatuité* wywyższać się ponad rzeczywistą wartość, nie bez pewnej dozy wewnętrznego o niej przekonania.

„Niema mężczyzny, któryby nie był w mniejszym lub większym stopniu *fat*, szczególniej w sprawach miłości i męskiej odwagi“.

Przy końcu artykułu czytamy zaś, co następuje:

„Gdyby jednak kobiety potrafiły spojrzeć na mężczyzn objektywnie, gdyby nie mierzyły ich wad miarą własnej słabości, przekonałyby się, że dotychczas mają nad mężczyznami jedną przewagę, mianowicie: brak fanfaronady“.

Ponieważ jednak wszystko zmienia się z czasem, autor, czy autorka, dochodzi do konkluzyi, że, kiedy kobieta, zajmując w społeczeństwie stanowisko współrzędne z mężczyzną, — szukać będzie zwycięstw, nie tylko w dziedzinie miłości, ale i w innych dziedzinach życia, być może liczba fanfaronów się podwoi, ale i w takim razie kobiety nie dorównają mężczyznom, bo zawsze będą zachowywały pewną wstydliwość w miłości, i nigdy nie będą się pysznity swoją siłą i odwagą. Fanfaron w spodnicy będzie zawsze fanfaronem drugiego stopnia.

Przytoczyłem powyżej kilka ustępów dosłownie, by przekonać Czytelnika (Czytelniczek nawet się nie staram, bo wiem, że to próżne zabiegi) jakie wyso kie pojęcie mają niewiasty o swej wartości, a nas uważają za hetkę-pętelkę. Bo tak źle nie jest, jakby z powyższego wynikało, ani mężczyzna w zasadzie nie jest takim, jak go tu przedstawiono, ani znów kobieta tak idealną.

Nie brakuje wprawdzie różnych fanfaronów między nami, ale nie brak i fanfaronek, pomawianie zaś o tą wadę każdego mężczyznę, jest, co najmniej, przesadą. Zresztą jeżeli kobieta żąda równouprawnienia z mężczyzną, niech przyzna, że i ona ma te same, co i on, wady.

W każdym razie tak cała owa ankieta, jak i omawiający ją artykuł zepsuły mi dużo krwi i każą wołać na towarzyszów niedoli: *Caveant consules...* i nasze sufrażystki zabierają się do nas i ani się spodziejecie, jak staną do mężobójczej walki!

Oho! — powie ktoś może — jak to zaraz poznać, że żona pojechała! Nie czuje jej koło siebie, więc też staje się tak wojowniczym!

Na to muszę odpowiedzieć, że, kto tak myśli, jest w błędzie, gdyż ja mam zawsze swoje zdanie, czy żona jest w Krakowie, czyli też zdala od Wisły. Jeśli się zaś z niem nie afiszuję publicznie, to nie dlatego, jakobym był może pantoflem, który boi się swej połowicy, ale jedynie z tego powodu, że wiem, iżby mych intencyi nie zrozumiała, już bowiem psalmista Pański powiada, że Opatrzność, obdarzając kobietę długimi włosami, dała jej natomiast krótki rozum.

A one jeszcze, aby je przedłużyć, używają przyprawianych warkoczy! Czy to nie fanfaronada?...

Pokazuje się, że nie miałem słuszności, utrzymując w jednej z poprzednich kronik, że jakoś nie widać przygotowań do zjazdu esperantystów. Przekonujemy się o tem z komunikatu *Nowej Reformy*, który zawiadamia, że najrozmaitsi przeczuleni filantropi i filantropki, (ale z cudzej kieszeni), postanowili skorzystać ze zjazdu obcych i rozpocząć wędrówkę z puszkami na rozmaite cele. Co prawda, byłoby to urozmaiceniem pobytu dla obcych, którzy co pięć minut musieliby wyciągać pulares, nie podobało się jednak magistratowi, który oświadczył kategorycznie, że nie wyda pozwolenia na wstrętną żebraninę.

Ładne wyobrażenie mieliby o nas obcy. Przypominałoby to owego jegomościa, który przyjmował u siebie gości, naturalnie bardzo serdecznie, ale potem namówił ich, by z nim zasiedli do niewinnego ferbelka, w którego ich należycie obębnił.

Gdy mu potem zwrócono uwagę, że to nie wypada, odpowiedział ze zupełnym spokojem:

— A cóż pan sobie myśli?... Ja im będę za darmo dawał jeść i pić?... Niema głupich! Muszą mi zwrócić bodaj w części koszta przyjęcia!

Słyszę, że podobno i restauratorzy, hotelarze i wszelkiego rodzaju kupcy zamierzają na czas zjazdu popodnosić i tak już zanadto słone ceny, sądzą bowiem, że obcym w ten sposób lepiej się utrwali w pamięci pobyt pod Wawelem.

— Aha! — powie każdy z nich potem na wzmiankę o Krakowie. — To tam, gdzie mnie tak obdarto ze skóry!

Ale nasz magistrat powinien i w to wglądnąć.

Stukilometrowy wyścig Warsz. Tow. cyklistów.

Punktem kulminacyjnym sezonu kolarskiego w Królestwie Polskiem jest wyścig 100 kilometrowy, urządzony przez warszawskie Tow. cyklistów a dający zwycięzcy tytuł mistrza jazdy na Królestwo Polskie. I w roku bieżącym wyścig ten obudził wśród sportowców i szerszej publiczności wielkie zainteresowanie, o czem świadczyły tłumy, gromadzące się przy starcie i wzdłuż szosy, na której wyścig się odbywał.

Ze startu ruszyło 60 jeźdźców, a pierwszy przybył do mety p. Feliks Rawski z Mińska Mazowieckiego, który pobił wszystkie poprzednie rekordy, przebywszy przestrzeń 100 kilometrów w ciągu 3 godzin 26 minut.



Rządy tureckich pretoryanów: Odpoczynek albańskich powstańców. (Do art. na str. 3)



Stefan Turski.

Stefan Turski.

Wśród współczesnych pisarzy ludowych dramatycznych zaczyna w ostatnich czasach wybijać się na pierwszy plan p. Stefan Turski, znany Krakowowi aktor teatru ludowego. Poznawszy dokładnie życie ludowe podmiejskie, wśród którego wzrósł i wychował się, z tego środowiska zaczerpnął tematów do swej twóczej pracy i dał scenie ludowej kilka istotnie dobrych rzeczy.

„Krowoderskie zuchy“ zyskały sobie największy rozgłos. W Krakowie grano sztukę przeszło 130 razy, podobnie dobrze przyjęto ją we Lwowie i na prowincyi. Dalszemi pracami, które wystawiono w teatrze ludowym w Krakowie, były wodewil „Podmiejskie zalecianki“ i sztuka „Synowa ze suteryn“. Obie spotkały się z bardzo przychylnem uznaniem prasy i publiczności.

Obecnie p. Turski po raz czwarty występuje przed światła kinkietów z próbą swego talentu. W najbliższych dniach ukaże się na deskach teatru ludowego w Krakowie nowa jego sztuka „Kolporter“. Temat zaczerpnięty jest z życia uliczników, sprzedających gazety po ulicach. Typ ten znany jest na bruku każdego niemal większego miasta.

Po ukończeniu zaś sezonu letniego teatru ludowego w Krakowie, ma pan Turski zamiar zorganizować własną trupę i ruszyć z nią w okrężną podróż po miastach galicyjskich, wystawiając swoje sztuki.

Nowy typ szkoły.

(Do illustracyi na str. 10).

Praca nad uświadomieniem społeczeństwa jest bardzo zaszczytną, jednakże bardzo ciężką i to, szczególniej na najniższych stopniach. W miarę, jak się ma do czynienia ze starszymi osobnikami, rozwiniętymi już umysłowo, nauczyciel ogranicza się tylko do wskazówek, w myśl których oni sami uzupełniają już swe wykształcenie. Nad najmłodszem pokoleniem trzeba jednak pracować z całem zaparciem i poświęceniem, tam trzeba dopiero budzić to, co drzemie w ukryciu.

Ziarno, rzucone w tym okresie na glebę duchową, przyjmuje się najrychlej, wrażenia odniesione w tym wieku nie zacierają się i po latach wielu. Każdy z nas, którzyśmy już dawno opuścili mury szkolne, z miłą wdzięcznością wspomni o tych zacnych kierownikach, pracujących cicho, a wydatnie dla dobra społeczeństwa. Nauczyciel szkół normalnych z pewnością nie mniejszym powinien się cieszyć szacunkiem jak profesor uniwersytetu.

To też społeczeństwo, pomne ich zasług i pracy, darzy ich swą sympatyą i uznaniem, a każde ulepszenie w dziedzinie najniższego szkolnictwa wita z wielką radością.

Jedną z najzasłużeńszych i najdzielniejszych pracowniczek na tej niwie jest ceniona literatka p. Stanisława Okołowiczówna, która po dłuższej nieobecności w kraju powróciła do nas, aby teraz już nie tylko przez książeczki przemawiać do maleńkich serduszek, ale, aby się całkowicie poświęcić dla ich dobra.

W tym celu otworzyła ona lekcye zbiorowe dla polskich dzieci i po całorocznych trudach z dumą może spoglądać na owoce swej pracy. Na razie główną uwagę zwróciła na dzieci rozpoczynające dopiero naukę, ale na usilne prośby rodziców obiecała w najbliższym czasie zająć się i starszemi.

Nauka prowadzoną jest według najnowszych typów szkół zagranicznych. Wspólnie z kierowniczką pracuje nad uświadomieniem młodego pokolenia kilka najwybitniejszych sił z krakowskiego świata nauczycielskiego. Główną uwagę zwraca się na indywidualność każdego dziecka i do niej stosuje się metodę, nie tak, jak w szkołach rządowych, gdzie wszystko sprowadzić się musi do wspólnego mianownika, bez względu czy się nadaje, czy nie.

Dzieci prócz nauk szkolnych uczą się slöjdu, malarstwa i śpiewu choralnego wraz z teoryą. W godzinach poza szkolnych odbywają się pogadanki, oraz wycieczki przyrodnicze i historyczne.



Stukilometrowy wyścig Warszaw. Tow. cyklistów: Członkowie zarządu W. T. C. w oczekiwaniu na wynik wyścigu. (Fot. M. Fuks, Warszawa).



Stukilometrowy wyścig Warszaw. Tow. cyklistów: Zdobywca pierwszej nagrody i tytułu mistrza jazdy na Król. Polskie, p. Feliks Rawski (X), w gronie uczestników wyścigu i widzów. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Konkurs kapeluszy.

Zielony karnawał w Warszawie nie obył się bez różnego rodzaju atrakcyi. Między innymi jedna zwłaszcza poruszyła całą Warszawę. W Dolinie Szwaj-



Kradzież 50.000 koron: Zofia Jaszowska i Natalia Kitówna, areszt. we Lwowie pod zarzutem kradzieży 50.000 koron.

carskiej odbył się mianowicie konkurs piękności, lecz przedmiotem zachwytów miał być nie najpiękniejszy osobnik płci żeńskiej, ale... kapelusz damski.

Konkurs ten poruszył całą Warszawę dlatego, że panie i panienki przypuściły szturm do kieszeni mężów, ojców, braci, aby zdobyć flotę na sprawienie sobie... najpiękniejszego kapelusza.

Nagrodę uzyskała panna Maryla Wyrwiczówna, znana z doskonałej jazdy na wrotkach. Wybranka losu przypadkowo miała nie tylko piękny kapelusz, ale i wcale ładną twarzyczkę.

Niebezpieczne „Tatry".

Od czasu bohaterskiej śmierci ś. p. Klimka Bachledy nie było w Tatrach tak głośnego a zarazem tak zagadkowego wypadku, jak zaginięcie p-ny Szystowskiej. Pogotowie tatrzańskie czyniło też nadludzkie wysiłki, przeszukując najgłębsze jary i lejki, lecz usiłowania te pozostały bez rezultatu. Tatry pochłonęły znowu jedną ofiarę, która zginęła w miejscu, nieuznanem bynajmniej przez turystów za niebezpieczne. Wypadek ten powinien też skłonić do większej ostrożności podczas wycieczek.

W dzisiejszym numerze dajemy szereg zdjęć przedstawiających Pogotowie tatrzańskie i jego niebezpieczne wyprawy.

Zaślubiny hr. Wojciecha Gołuchowskiego z hr. Baworowską.

(Do illustracyi na str. 3).

W ostatnich dniach lipca b. r. odbyła się w lwowskim kościele archikatedralnym uroczystość zaślubin hr. Wojciecha Gołuchowskiego, syna hr. Agenora, byłego austro-węgierskiego ministra spraw zagranicznych, z hrabianką Zofią Baworowską, córką hr. Michała.

Ceremonii kościelnej dopełnił ks. Stefan Bratkowki w asystencyi ks. prałata Lubomirskiego i ks. hr. Badeniego.

Przed ślubem przemówił ks. Bratkowski serdecznie od ołtarza. Na chórze grała orkiestra 40 p. p. „Veni Creator" odśpiewał ks. Nowowiejski.

Kościół wypełniony był publicznością, w orszaku ślubnym było bardzo wiele osób z polskich domów arystokratycznych.

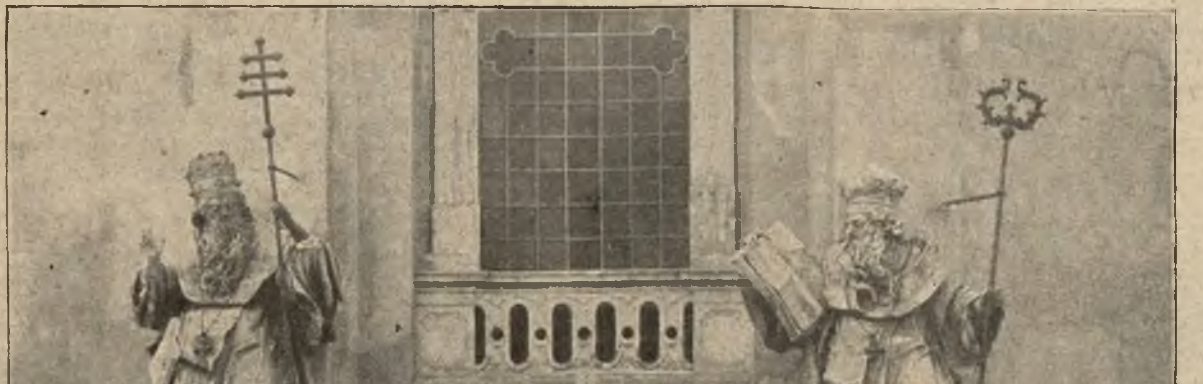
Kradzież 50.000 koron.

Są ptaki, które stale, jak n. p. kukułka, żyją ciepłem cudzego gniazda. Są jednak także i ludzie, którzy w życiu robią to samo.

Dwa takie ptaki niebieskie, tym razem w spodniczkach, udało się niedawno ująć policyi lwowskiej. Mianowicie p. Edward Chłopecki, właściciel dóbr Żabokruki, doniósł, że skradziono mu papiery wartościowe na sumę 50.000 K oraz 3.000 K gotówki. Podejrzenie zwróciło się przeciw dwom panienkom, które policya aresztowała. Są to Zofia Jaszowska i Natalia Kitówna. Obie przyznały się do kradzieży, papiery wartościowe zakopały w polu, zaś pieniądze przepuściły, tak, iż zdołano im odebrać tylko 80 K. Ku niemałemu ich żalowi kazano zdjąć im wspaniałe szaty i powędrowały do aresztów.

Restauracya katedry św. Jura.

Restaurowanie gr. kat. archikatedralnej cerkwi św. Jura we Lwowie dobiega końca.



Restauracya katedry św. Jura: Kierownicy robót restauracyjnych: 1) Adam Topolnicki, Radca nam. 2) Wojciech Jabłoński, majster kamieniarski. 3) Józef Bieńkowski, rzeźbiarz. 4) Henryk Bogdanowicz, majster blacharski. 5) Adam Ross, majster ciesielski. 6) Antoni Nestarowski, majster murarski. 7) Adam Draniewicz, majster murarski. 8) Stanisław Konopacki majster ślusarski.

Cerkiew ta, wystawiona pierwotnie dla Bazylianów w r. 1292, a następnie przebudowana w r. 1744—1761 w kształcie greckiego krzyża, w bogatym stylu rococo, jest jedną z najpiękniejszych świątyń, prawdziwe arcydzieło sztuki architektonicznej.



Konkurs kapeluszy: Panna Maryla Wyrwiczówna, której kapelusz uzyskał pierwszą nagrodę na konkursie. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Cerkiew ta uległa z biegiem czasu znacznemu zniszczeniu, wymagającemu radykalnej i gruntownej restauracyi, z zachowaniem jednak cechy starożytności.

Odrestaurowanie tej cerkwi przeprowadzono na podstawie elaboratu technicznego, wypracowanego bardzo sumiennie przez radcę budownictwa przy Namiestnictwie, p. Adama Topolnickiego, znakomitego i wytrawnego architekty, i pod jego kierownictwem.

Główne roboty restauracyjne, t. j. roboty rzeźbiarsko kamieniarskie wykonał nader biegły i zdolny majster kamieniarski, p. Wojciech Jabłoński w spółce z doskonałym rzeźbiarzem, p. Józefem Bieńkowskim.

Pomimo nadzwyczaj trudnych warunków pracy, spółka ta wywiązała się ze swego zadania nader chlubnie i uzyskała pełne uznanie ze strony nie tylko tutejszych, ale i wiedeńskich konserwatorów, a także pochwałę u ministerstwa oświaty.

Należy tu także zaszczytnie wspomnieć o firmie H. Bogdanowicz, która wzorowo wykonała wszelkie roboty blacharskie około nowych pokryć cerkwi blachą miedzianą, około wykonania ozdobnego krzyża z kulą i promieniami, bogato i grubo w ogniu prawdziwem złotem dukatowem złoconemi, i t. p. roboty.

Dalej wspomnieć należy o majstrze ciesielskim, p. Adamie Rossie, który nader starannie i sumiennie wykonał tak bardzo skomplikowane i wysokie rusztowanie, o spółce pp. Nestarowskiego i Draniewicza, majstrach murarskich, którzy zniszczone i całkiem łuszczące się otynkowanie fasady z częściową wymianą zniszczonych cegieł doskonale wykonali, a wkończu o p. Stanisławie Konopackim, majstrze ślusarskim, który prawie wszystkie stare okna cerkwi wymienił na nowe o żelaznej konstrukcyi.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 29.

Logogryf:

```
        M
      L i n
    S o k a l
    F l o r a
      K ł y
        a
    T a j g a
    M a k ó w
  S a l o m o n
A n t y p a t y a
  R a w e n n a
    M a r e k
    S y n a j
    O w i e s
      A k r
```

Kwadrat magiczny:

```
E t n a
t r o n
n o t a
a n a m
```

Bilety wizytowe: Majster koszykarski. Naczelnik poczty

Łamigłówka:

Sęp
tok
ryś
ewa
Jan
kot
kos
udo
eis
hak
ali
rak
zan
yak

Szarada: Cierpienie.

Trójkąt magiczny:

```
C h l e b o w s k i
B y s t r z y c a
R e w o l w e r
O l s z t y n
N i e m c y
I r e n a
S a l a
Ł o ś
A a
W
```

Przysłowiówka: Złość piękności szkodzi.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Lachowski Warszawa, J. Lipski Wiedeń, M. Garlińska Lwów, K. Fuchs Czeremchów, M. Arbesbauer Lwów, K. Szumańska Rawa Ruska, J. Rogowski Poznań, S. Karwowski Warszawa, D. Engelberg Rzeszów, J. Leszczyński Sambor, K. Ogonek Lublin, W. Bandrowski Skierniewice, R. Kwaśniewski Lwów, S. Świrski Radom, W. Ostrowski Staszów, K. Błachowski Jasło, J. Wistocki Lwów, M. Taklińska Płock, M. Więckowski Poznań, S Kozłowski Kraków, P. Madejski Kraków, H. Maciejowska Winnica, S Kowalówka Kraków, Cz. Lipiński Kraków, Z. Kiciński Piotrków, F. Müller Lwów, M. Olszewska Kraków, K. Habowska Zwierzyniec, Z. Marynowska Olszanica, K. Rylski Poznań, J Better Kałusz, S. Zachara Krosno, J. Pick Warszawa, M Kozik Lwów, Z. Sperling Wiedeń, H Tyszecka Warszawa, K. Dębiński Krynica, J. Zerygiewicz Stanisławów, L. Korytowska Wiedeń, E. Nowacki Przemyśl, J. Jakubowska Kraków, A. Siatka Kraków, J. Obst Łódź, S. Moszyński Stanisławów, S. Sułkowski Jordanów, A. Zawada Kraków, J. Cichocki Warszawa, A. Dużak Kraków, J. Kopczyńska Lwów, R. Knapik Kraków, J. Gruber Lwów, S. Gold Witów, Z Serwacki Kraków, S. Sokołowski Brody, J Łopatkiewicz Jasło, F. Schmidt Cieszyn, A. Biliński Tarnopol, G. Górecki Tarnobrzeg, D. Bogucki Jasło, H Zegartowska Bogucice, S. Dzikowski Karlsbad, H. Wojciechowski Sandomierz, G. Obraczay Morawska Ostrawa, C. Wang Rzeszów, J Marcinkiewicz Krynica, Z. Cichocki Stary Sambor, W Borkowski Kraków, H. Wiewiórowski Kołomyja, S. Bukowski Równo, D. Janik Drohobycz, D. Rosenbaum Lwów, J. Zborowski Radomyśl, J. Klappholz Rzeszów. J. Gruszczyńska Podgórze, R Sauer Busk, J. Jaworski Zakopane, H. Pokorska Krynica, J. Łopatyńska Jaremcze, R Bernatowicz Sandomierz, J. Nowak Podgórze, M. Szydłowski Radom, J. Balicki Stanisławów, D. Medyński Zakopane, K. Stankiewicz Warszawa, J Antosz Bochnia, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, S. Lindenbaum Czerniowce, J. Kolbuszewski Jasło, S. Rost Rzeszów, K. Morawska Lwów, D. Knobel Radom, S. Radoszewski Tarnobrzeg, K. Lewicki Poznań, J. Osiński Lwów, K. Michałowski Zakopane, K. Radziński Lwów, T. Nikiel Podgórze, S. Krzyżanowski Podgórze, R. Sawicki Lwów, K. Domański Iwonicz, F. Blätterfeind Stanisławów, M. Ciesielski Poznań, D. Kownacka Skierniewice. J Fink Przemyśl, S. Charzewski Łódź, D. Sedyńska Zakopane, J. Roland Kielce, F. Horak Oświęcim, J. Jahoda Cieszyn, J. Jaglarz, Sanok, K. Tombiński Lwów, S. Siegel Tarnów, K. Kaim Kraków, J. Misiewicz Lwów, S. Lichański Sanok, J. Krawecki Drohobycz, M. Silber Lwów, J. Sikorski Sanok, I Oszacki Warszawa, A. Piękoś Lwów, G. Czyżewski Jasło, H. Srokowska Zamość, J. Wilczkiewicz Sanok, S. Lisowski Krosno, S. Wojczyński Petersburg, W. Potocka Poronin, M. Zagórska Krynica, H. Sosnowski Kijów, S. Gadomski Płock, J. Kowalski Kołomyja, I. Tomaszkiewicz Warszawa, J. Chmurowicz Kraków, G. Górski Kraków, H. Piątek Podwołoczyska, K. Rogoziński Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Zborowski, Radomyśl.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Z teatru „Nowości": Z dniem 1. sierpnia rozpoczyna w teatrze „Nowości" gościnne występy najsłynniejsza brazylijska tancerka **La bella Estio,** która ostatnio święciła prawdziwe tryumfy w teatrze „Alhambra" w Londynie. **La bella Estio** odtwarza trzy tańce: amerykański, hiszpański i oryginalny taniec brazylijski „Tango". Tym to ostatnim tańcem podbija wprost publiczność i porywa ją za sobą. Występy jej trwać będą bardzo krótki czas. Nadto przygotowała dyrekcya z wielkim nakładem nową o przepięknej muzyce Eyslera operetkę p. t. **„Śpiewak kabaretowy"** z udziałem p. p. Palczewskiej, Poleńskiej, Arciszewskiej, dyr. Poleńskiego, Karbowskiego, Sydora i innych. Program urozmaici jeszcze szereg światowych atrakcyi, z pomiędzy których wyróżnia się wspaniała tresura 22 kakadu.

Ze świata kobiecego.

Na przełomie.

W wielkich paryskich magazynach mód ustępuje już sezon letni miejsca jesiennemu. Nie zarzucono wprawdzie jeszcze pięknych lekkich sukien letnich, ale coraz dobitniej zaczyna się na nich wyciskać piętno tego, co w jesieni będzie modne.



Suknia letnia z różowego atłasu, pokryta gazą i koronkami, ozdobiona złotymi meandrami.

Panier ustępują powoli miejsca spokojniejszym tunikom. Do przybrania sukien chętnie używa się kwiatów sztucznych, bardzo dużych z jedwabiu lub aksamitu. Tak n. p. bardzo ładną jest suknia z różowego atłasu przybrana drapowaną tiuniką z jedwabnego muślinu, oraz garniturem dużych czarnych róż aksamitnych, które z przodu podtrzymują upięcie stanika.

Zupełnie nową rzeczą są szerokie paski, które wyglądają jak szale i przypominają przewiązki, noszone przez Indyan, a zwane *pagne*. Pasy te obszyte często koronką, robią wrażenie krótkiej tiuniki.

Kapelusze przeważnie nosi się z czarnego aksamitu z wielkimi rondami. Czarne kapelusze słomiane pokrywa się koronką lub przybiera brzegi futerkiem.

Futerka względnie obszycia z hermelinów, wiewiórek lub *marabout* spotykamy także przy welonkach, które znowu powracają. Wprawdzie w zestawieniu z lekkimi sukniami letnimi lub choćby jesiennymi przybranie futerkiem wygląda bardzo oryginalnie, ale... może właśnie dlatego stało się modne. Nie są to jednak woalki tego rodzaju, jak zwykle je się nosi. Są to raczej tiulowe lub gazowe szale, które w zręczny sposób upina się na wielkich formach słomianych kapeluszy i odrzuca końce ku tyłowi.

U schyłku sezonu wywalczyły sobie prawo obywatelstwa nowe kolory w materyałach i sukniach. Obok koloru białego i jasnych kolorów letnich coraz silniej noszone są materyały szkockie. Wielkiem powodzeniem cieszą się zwłaszcza materye *surah-ecossais* w wielkie kraty o tle niebiesko-zielonem z czarnymi, białymi i czerwonymi paskami, a więc w zestawieniu kolorów bardzo spokojnem. Również chętnie noszone są materye w kolorach brązowych wszelkich odcieni w połączeniu z jaśniejszymi lub ciemniejszymi tonami niebieskimi.

Bluzki szkockie dobiera się w kolorach cokolwiek żywszych niż całe suknie. Jasne kolory *cerise*, lila, szary i różne odcienie czerwonego, zestawienie zielonego z jasno-brązowym, niebieskim, białym i jasno-złotym, stanowią *clou* sezonu. Oryginalnym jest także materyał w kolorze jasno-zielonym z brązowym i złotym, albo wreszcie złotym i brązowym z czarnymi paskami.

Na jesień i zimę spodziewaną jest także reforma w dziedzinie kostyumów. Spowodowaną ona zostanie zmianą fasonu gorsetu, który już nie będzie tak długi i prosty, jak obecnie noszone, ale o wiele krótszy i swobodniejszy. Tem samem zaś żakieciki kostyumów staną się wolne i mniej obcisłe.

Na zakończenie wspomnę jeszcze o jednej zasadniczej zmianie. W Nowym Yorku po katastrofie „Titanica" wśród bogatych miliarderów prawie wszystkie rodziny chodzą w żałobie. Za przykładem jednak pani Astor zmieniono kolor czarny żałoby na biały, jako odpowiedniejszy w letnich upałach.



Suknia spacerowa z sukienka w kolorze *chamois*, **suknia podróżna** z kamgarnu w paski, ozdobiona kołnierzem z jedwabiu koloru czerwonego *cerise*.

Suknie zrobione są z atłasu, jedwabnego kaszmiru, *crepe de chine* i tafty. A całości dopełnia biały kapelusz, białe rękawiczki, takież pończoszki i pantofelki.

Możeby i u nas taką zmianę zaprowadzić?

W.



Suknia jesienna z cienkiego ciemno-granatowego sukna, obrana białą koronką.

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

2

— A, teraz rozumiem, czemu pani Certain nazwała mnie upiorem i uciekła tak wystraszona.

Poczem dodał:

— Lecz po co ten człowiek i jakim sposobem tu się znalazł? Jak dostał ubranie, bieliznę podobną do mojej? Czemu się przebrał za mnie? Czemu został zamordowany?... To straszne!... Nic podobnego chyba nie zdarzyło się nigdy!...

Paulin Broquet nie odpowiedział ani słowem na te zapytania, tylko się dalej przypatrywał mówiącemu.

— Wracam w tej chwili z podróży — mówił dalej James Benamol — wczoraj jeszcze byłem w Londynie, dokąd jeżdżę często dla załatwienia moich spraw. Jeden z mych urzędników uprzedził mnie o znalezieniu trupa w mem biurze, lecz nic mi nie powiedział o tem dziwnem podobieństwie nieboszczyka do mnie...

— Czy pan — zapytał raptem Paulin Broquet — nie znał tego człowieka?... Nic pan nie podejrzewa?... Nie może pan nic o nim powiedzieć?

James Benamol wzniósł ręce do góry.

— E, mój kochany panie — zawołał — co pan chce, żebym ja o nim wiedział?... Nic nie wiem, nic nie rozumiem. Mam nadzieję, że policya rozjaśni tę sprawę i...

— Jest także kobieta — przerwał mu Broquet.

— Kobieta! Także zamordowana? Tutaj? — pytał James Benamol, oglądając się na wszystkie strony. — Gdzie ona jest? Kto ona? Do kogo znów ona jest podobna?

— To panna pisząca na maszynie w pańskiem biurze!

James Benamol znowu wzniósł ręce i miał rozpocząć znowu swe wykrzykniki i zapytania, lecz Paulin Broques uprzedził go.

— Za chwilę będzie pan o wszystkiem powiadomiony — powiedział.

Poczem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Ajenci jego podążyli za nim. W korytarzyku zwrócił się do jednego z nich, mówiąc:

— Mapipe, weź kogo z towarzyszy do pomocy i razem starajcie się nie stracić z oka tego James'a Benamola.

. . . .

W chwilę później prześliznął się niespostrzeżenie przez tłum, otaczający dom i oddalił się w kierunku ulicy Vivienne. Niedaleko domu, z którego wyszedł, wyminął go jakiś Japończyk, który, zdyszany, wzruszony, biegł, aby się przyłączyć do tłumu gapiów.

Po dojściu do Palais Royal, Paulin Broquet zwolnił kroku. Udał, że ogląda wystawy sklepowe, aby się rozejrzeć niespostrzeżenie, czy go kto nie śledzi. Nie widząc nic podejrzanego, przyspieszył znów kroku i po chwili wyszedł z Palais Royal.

Za Théâtre Francais wsiadł do automobilu; szofer, nie czekając na rozkaz, ruszył; był to Gabryel, jeden z jego najsprytniejszych ajentów.

Gdy wjeżdżali w bramę Luvru, dopędził ich jakiś automobil, w którym siedział mężczyzna o czarnych włosach i typowym wyglądzie egzotycznego mieszkańca Ameryki południowej; towarzyszyła mu kobieta młoda, bardzo ładna, brunetka z cudownemi oczami.

Mężczyzna był zajęty kupowaniem jakiejś drobnostki w sklepie, przed wystawą którego zatrzymał się Paulin Broquet. Wyszedł wkrótce po nim z Palais Royal, wskoczył do automobilu, w którym już czekała na niego młoda kobieta o czarnych oczach, poczem razem zaczęli śledzić w pewnej odległości wóz Paulina Broquet, spieszącego ku ministeryum spraw zagranicznych.

ROZDZIAŁ IV.

Piękna amazonka.

Młody urzędnik ministeryum, M. Raynand, oczekiwał na detektywa przy bocznem wejściu, aby go wprowadzić do gabinetu ministra bez zwracania powszechnej uwagi.

W gabinecie znajdował się już prefekt policyi, M. Laronce, który przedstawił Paulina Broquet ministrowi, M. Desbois Billy.

Ten ostatni oświadczył, że zna detektywa od dawna ze słyszenia i podziwiał zawsze jego wielki talent i odwagę. Poczem poprosił go, aby usiadł i wysłuchał sprawy. Przedstawiała się ona w następujący sposób:

Około godziny dziewiątej rano Mr. Desbois-Billy po krótkiej, lecz nader ważnej rozmowie z prezesem rady, wracał karetą z szefem swego gabinetu, Mr. Simonet, który był jego dalekim krewnym. Rozmowa toczyła się o rzeczach nie mających nic wspólnego z polityką, a mianowicie o debiucie w Teatre-Français pewnej młodej artystki, której duży wdzięk i talent uczyniły wielkie wrażenie.

Na Quai d'Orsay kareta Mr. Desbois-Billy wyminęła dwóch jeźdźców, kobietę i mężczyznę, jadących widocznie na spacer do Lasku.

Mężczyzna, którego wiek trudno było określić, miał ciemną cerę, czarne włosy, i duże, również czarne wąsy.

Kobieta szczupła, zręczna, wyglądała prześlicznie w swej amazonce. Włosy czarne, uczesane nizko, były przewiązane aksamitną szeroką wstążką, która tworzyła u dołu dużą kokardę z wpiętą pośrodku wspaniałą szpilką brylantową.

Konie obojga były wyjątkowo piękne. Zapóźno skręcone w bok zmusiły stangreta ministra do wstrzymania swego powozu na chwilę.

Minister i jego towarzysz wychylili się z okna karety, aby przypatrzyć się lepiej przejeżdżającym, a szczególnie pięknej amazonce. Nieznajomy, przepraszając za mimowolne opóźnienie, zdjął kapelusz, młoda kobieta zaś uśmiechnęła się, ukazując cudowne, nadzwyczajnej białości zęby.

Mr. Desbois-Billy w odpowiedzi ukłonił się przejeżdżającym.

— Piękne konie, panie ministrze, — zauważył złośliwie Mr. Simonet.

— Tak — odpowiedział Mr. Desbois-Billy — lecz jeszcze piękniejsza kobieta.

— Prześliczna!

— Czy pan ją zna?

— Trochę. Przychodziła kiedyś do mnie ze swym towarzyszem.

— Do ministeryum?

— Tak, abym poświadczył papiery dotyczące obcopoddanych, przebywających we Francyi.

— Czy pan to zrobił?

— Tak, panie.

— A później, czy pan już nie spotykał więcej tej cudownej kobiety?

— O, przychodziła później sama, dwa czy trzy razy, — odpowiedział Mr. Simonet z pewnem zakłopotaniem.

— Zawsze dla poświadczenia papierów? — zauważył minister trochę ironicznie. — A więc pan wie, kto są ci ludzie?

— Spotkałem ich jeszcze kilka razy wieczorem, w towarzystwie. Pochodzą z Argentyny, mówią, że są ogromnie bogaci.

— Jak się nazywają?

— On, markiz portugalski, da Izigo Martolo. Ona, siostra jego, hrabina Pepa d'Ortega, wdowa...

— Dobrze, — przerwał minister i zmienił temat rozmowy, jakby go to spotkanie przestało odrazu zajmować.

. . . .

W chwilę później, Mr. Desbois-Billy w towarzystwie młodego i bardzo eleganckiego Mr. Simoneta, wchodził do swego gabinetu.

Gabinet ministra jest podczas jego nieobecności zamknięty zawsze na klucz. Oprócz ministra może otworzyć drzwi tylko woźny Michał, który sprząta gabinet. Nikt więcej nie posiada klucza do tego pokoju.

Mr. Desbois-Billy nadszedł w chwili, gdy Michał zamierzał otworzyć gabinet, a więc nikt do tej chwili, do pokoju tego dnia jeszcze nie wchodził.

Woźny otworzył drzwi i usunął się na bok dla przepuszczenia ministra i jego towarzysza. Następnie wziął z przedpokoju tacę z korespondencyą i zaniósł ją do gabinetu. Dawny wojskowy spełniał obowiązki woźnego przy ministeryum od dwudziestu przeszło lat i był znany powszechnie ze swej wierności.

Mr. Simonet zajął swe zwykłe miejsce naprzeciw ministra i zaczął przeglądać listy.

Mr. Desbois Billy przypomniał sobie jeszcze raz czarujący uśmiech pięknej wdowy, lecz zaraz odpędził tę myśl od siebie, aby zająć się sprawami państwa.

Wtem, gdy już miał usiąść przy biurku — rzucił okiem na kasę ogniotrwałą i zadrżał.

— Simonet — zawołał — kasa otwarta!

Szef gabinetu skoczył na równe nogi.

— Niemożliwe, panie ministrze. Wczoraj wieczorem pan sam drzwi zatrzasnął... Ja sprawdziłem to jak zawsze i zamknąłem na klucz... Szafa była dobrze zamknięta!

— A jednak jest teraz otwarta... Proszę spojrzeć.

ROZDZIAŁ V.

Sława lub Hańba.

Nie było żadnej wątpliwości. Szafa była otwarta. Drzwi lekko przymknięte nie dały się zamknąć pomimo usiłowań obu mężczyzn.

— Włamanie! — zawołał minister — ktoś tu się włamał.

W szafie tej o potężnych rozmiarach i solidnej budowie, której drzwi nie można było otworzyć nie znając stosownego słowa i różnych kombinacyi mechanicznych — w szafie tej były przechowane papiery o bardzo ważnej treści, mogące zapewnić Francyi szczęście i dobrobyt, lecz rozgłoszone — wywołać zamieszanie, a nawet wojnę wszechświatową.

— Mój traktat w sprawie dardanelskiej! — zawołał rozpaczliwie minister.

Otworzył gwałtownie drzwi szafy i wskazując na pliki papierów poukładanych porządnie na półkach szafy, wołał:

— Mój traktat! Tam był mój traktat.

To było jego dzieło, owoc długiej pracy i talentu wielkiego — to była jego sława...

. . . .

Traktat dardanelski był naprawdę wielkiem dziełem, był tryumfem dyplomacyi francuskiej, zwycięstwem odniesionem bez kropli krwi przelanej.

Traktatem tym interesowali się przedstawiciele rządu największych państw w Europie. Lecz był on utrzymany w ścisłej tajemnicy jeszcze w stanie projektu.

Traktat dardanelski rozstrzygał kwestyę wschodnią, zacieśniał węzły przyjaźni z Rosyą, zawiązywał stosunki przyjacielskie z Anglią.

Lecz traktat ten nie był jeszcze podpisany przez przedstawicieli tych mocarstw; był trzymany w ta-

jemnicy, a nawet po podpisaniu nie miał być ogłoszony, gdyż mógłby sprowadzić wielką europejską wojnę.

— Mój traktat dardanelski! — powtarzał wciąż minister zrozpaczony.

Przeczuwał, był nawet pewien prawie, że to chodziło o traktat, że on to był skradziony. W swej podnieconej wyobraźni widział już Francyę nie u szczytu sławy i potęgi, lecz zdruzgotaną, zniszczoną, w nędzy.

Oszołomiony nieszczęściem stał przed szafą, niezdolny poruszyć się, wyciągnąć rękę, aby wziąć tekę zawierającą traktat. Za nim stał opierając się o biurko, aby nie upaść, szef jego gabinetu. On także wiedział, jak wielkie jest nieszczęście. Przerażenie jego było tem większem, iż on to właśnie był odpowiedzialny za całość traktatu. U niego przechowywał się klucz od szafy, on jeden tylko znał słowo, zapomocą którego można było zamek otworzyć.

Wreszcie Mr. Desbois Billy całym wysiłkiem woli zdołał się opanować. Po chwili okropnego przygnębienia stał się znowu człowiekiem stanu, który powinien z zimną krwią myśleć o sprawach całego narodu.

— Tej zbrodni — przemówił — nie można było spełnić bez ściągnięcia czyjejkolwiekbądź uwagi. Muszę wybadać Michała.

Lecz w chwili, gdy miał zawołać woźnego, zatrzymał się. Podszedł do telefonu, połączył się z prefektem policyi, Mr. Laronce, i poprosił go, aby niezwłocznie przyjechał do ministeryum. Poczem zupełnie uspokojony zwrócił się ku szefowi gabinetu.

— Jak to się mogło stać, mój kochany Simonet? Jakim sposobem mógł tu się ktoś przedostać i otworzyć tę szafę?

— A, panie ministrze — wyjąkał Simonet — ja nic nie rozumiem... ja nic nie wiem.

— Pańskie położenie jest straszne.

— O, panie ministrze, przysięgam, że jestem niewinny.

— Ja pana nie obwiniam, lecz musi pan przyznać, że pan jest odpowiedzialny za całość szafy.

— Tak, tak! Ale ja zamknąłem wczoraj szafę, tak, jak zawsze. Oto klucz, nie rozstawałem się z nim przez cały czas.

Wtem minister uderzył się dłonią w czoło; pewna myśl przyszła mu do głowy.

— Simonet, możeśmy się niepotrzebnie nastraszyli?

— Jakto, panie ministrze?

— A no, wczoraj mógł się pan spieszyć, był pan roztargniony, zapomniał pan zamknąć szafę. Ja zatrzasnąłem drzwi i te zostały niezamknięte przez całą noc.

— O nie, panie, to niemożliwe, ja nie mogłem zapomnieć, to niemożliwe.

— Zaraz się przekonamy. Proszę mi dać tekę z traktatem dardanelskim; zobaczymy, czy jest w porządku.

Nie czekając na Simoneta, który był jak sparaliżowany tem nieszczęściem, minister podbiegł sam ku szafie, wyciągnął tekę i rozłożywszy na biurku, otworzył.

Traktat nietknięty leżał wewnątrz.

— Jest, jest! — wołał uszczęśliwiony Mr. Desbois Billy. — Cały, nienaruszony!

I wyciągając ręce do Simoneta — dodał:

— A, mój kochany przyjacielu, zdaje mi się jakbym był rozbitkiem skazanym na straszną śmierć i ocalonym w ostatniej chwili. Niechże pan także przyjdzie do siebie, nie można tak poddawać się wzruszeniu. Mówiłem panu i miałem racyę, żeśmy poprostu zapomnieli zamknąć drzwi szafy. Lecz to, cośmy przeszli przed chwilą, posłuży dla nas jako dobra nauczka. Chyba już nigdy nic podobnego się nie zdarzy.

Lecz Mr. Simonet potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Chciałbym podzielać pańską radość, panie ministrze, lecz jestem pewien, że wczoraj, jak zawsze, spełniłem swój obowiązek i zamknąłem starannie szafę. Jestem o tem zupełnie przekonany.

— Lecz przecie wszystkie dokumenty są na miejscu... nic nie zginęło.

— Nic nie rozumiem... Zresztą może nie miano zamiaru ukraść traktatu, może szukano czego innego.

W tej chwili wszedł do gabinetu prefekt policyi.

— Przepraszam pana bardzo, — zaczął Mr. Desbois-Billy po przywitaniu, — iż go trudziłem napróżno. Lecz gdy telefonowałem, byłem jeszcze przekonany, że stało się nieszczęście.

Tu pokrótce opowiedział, co zaszło. Oznajmił, że zawartość drogocennej teczki okazała się nienaruszoną, że wobec tego wdanie się policyi w tę sprawę było niepotrzebne.

Lecz zdanie Mr. Laronce było inne. Usłyszawszy, iż Mr. Simonet uporczywie twierdzi, że zamknął drzwi szafy, uważał sprawę za więcej skomplikowaną, niż się to ministrowi wydawało.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą katastrofę z ubiegłego miesiąca.

— ra
bo —
— er
le —
— ok
ok —
— ez
od —
— ra
le —
— le
so —
— eż
mu —
— ąb
il —
— is
li —
— za
ho —
— ak

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Mężczyzna stoi na furze u steru. Nil, ś, cc, pz.

Zagadka.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Weź dwie litery, włóż jedną w drogą,
A na początku zaś postaw trzecią,
Zbudujesz zamek, co dziejów smugą
Opromieniony, a polskim dzieciom
Dobrze jest znany. Szybko znajdziecie,
Jeśli nad Wisłą szukać będziecie.

Zadanie królewskie.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

			a			
		przed	strze	ty		
	zdra	że	cha	sze	cno	
knie	wro	dą	zaw	dzie	wier	ta
ta	zam	ty	ślu	ność	wie	tam
	gdzie	do	w swa	bu	gdzie	
		dzie	łość	mi		
			i			

Zagadka literacka.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Znaleźć tytuły utworów niżej wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwę dramatu Wyspiańskiego.

Maskoff ?
Żuławski ?
Maskoff ?
Bałucki ?
Fredro ?
Anczyc ?

Kryptogram.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Pomiędzy podane spółgłoski wstawić odpowiednie samogłoski:

C j s t g r s z m n d ż m j? T g r s! n d n g? B s! N d b s? K b t! N d t? N c g r s z g.

Bilety wizytowe.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Z liter zawartych na biletach ułożyć godność, względnie zatrudnienie poszczególnych osób:

ADAM ST. BREJNERSKI

JAN ZAMYWISTY
Olesko

E. L. TENCZER

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: U! Lubię ten bicz, sito i sęk.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Polej później! Kg, dynia!

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *A. Schifmana:* **Pankracy August I. Powieść.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.